

Poznaj Świat

7

2011

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

UKAZUJE SIĘ OD 1948 ROKU

NORWEGIA

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:

str. 36

Paweł Chudzicki
JAPONIA

str. 52

Anna Olej-Kobus
NAMIBIA

str. 78

Robert Szewczyk
KOLORADO

LOTY NAD FIORDEM

str. 16

Daniel Klawczyński
i Dominika Skonieczna

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614100 07



VISIT
NORWAY
.PL

NORWEGIA

ODKRYJ MOC NATURY

Fot. Terje Rakke / Nordic life / Innovation Norway

Tego lata wybierz się na wakacje do norwegii i odkryj moc natury. Poczuj przypyływ energii wędrując po lodowcu i płynąc kajakiem po spokojnych wodach fiordu. Wyrusz na daleką północ, do krainy Białych nocy, gdzie latem słońce nie zachodzi za horyzont. Wejdz na visitnorway.pl i zaplanuj swoją podróż marzeń.

 **NORWAY**
POWERED BY NATURE
www.visitnorway.pl



Japonia str. 36



Namibia str. 52



Norwegia str. 16



Kuba str. 62



USA str. 78

FOTOFORUM Zdjęcia naszych Czytelników str. 5**MSZA ZA NIEPAMIĘĆ** str. 12Najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego****W KOLEJCE DO PRZEPAŚCI** str. 16Loty nad norweskim fiordem. **Dominika Skonieczna**
i **Daniel Klawczyński****NAVIGATOR** str. 28**A BAZARÓW ŻAL** str. 34Felieton **Dariusza Rosiaka****Z KLĘSKĄ W TLE** str. 36Wyprawa do Japonii, gdy ziemia drży i szaleje tsunami.
Paweł Chudzicki**MAZUREK NA WYNOS** str. 44Felieton **Roberta Mazurka****GEOSKOP** str. 46**DZIEŃ Z BUSZMENAMI** str. 52Spotkanie z potomkami ludu San w Namibii.
Anna Olej-Kobus**JUBILATKI MICHAŁA ANIOŁA** str. 62Najważniejszy dzień w życiu kubańskich nastolatków.
Adam Kwaśny**ZRAZY Z KASZĄ POD PIRAMIDAMI** str. 68Felieton **Ryszarda Badowskiego****AWANTURA O CARAL** str. 70Najstarsze miasto obu Ameryk. **Roman Warszawski****ZUPEŁNIE NIEDAWNO W AMERYCE** str. 78Kanion rzeki Kolorado. **Robert Szewczyk****MIASTO CZERWONYCH BOHATERÓW** str. 86Zagubiona w stepie, dynamicznie rozbudowująca się stolica Mongolii.
Rafał Ostrowski**PRZEPIS NA LWÓW** str. 94Tu warto wracać nie tylko dla wspomnień. **Jerzy Majka****JAK NAS WIDZĄ** str. 99Spotkanie z **Prakashem Chhetri**, przewodnikiem z Bhutanu**TRÓJMIEJSKIE DROGI DO WOLNOŚCI** str. 100Przewodnik po najważniejszych miejscach Grudnia 70 i Sierpnia 80.
Katarzyna Rojek**POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI** str. 108Spotkanie z **Marylą Rodowicz****WYZWANIE DLA PRAWDZIWYCH BIKERÓW** str. 110Na rowerach w Dolomitach. **Marek Sołtysiak****OUTDOOR** str. 114**AKADEMIA NIKONA** str. 118

Fotoreportaż

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120NA OKŁADCE:
Norweskie fiordy.



Dariusz Wiejaczka

MAURETANIA

Po obiedzie

W drodze do Nouakchott
zjedliśmy ryż z sosem.
Szefowa kuchni jest wyraźnie
zadowolona z tego, że nam
smakowało.

Dariusz Pawelec

BAŁTYK

Słońce we mgle

Ten nierzeczywisty obraz
jest autentyczny.
Tak zaskakującą grę
światła potrafi stworzyć
tylko natura.



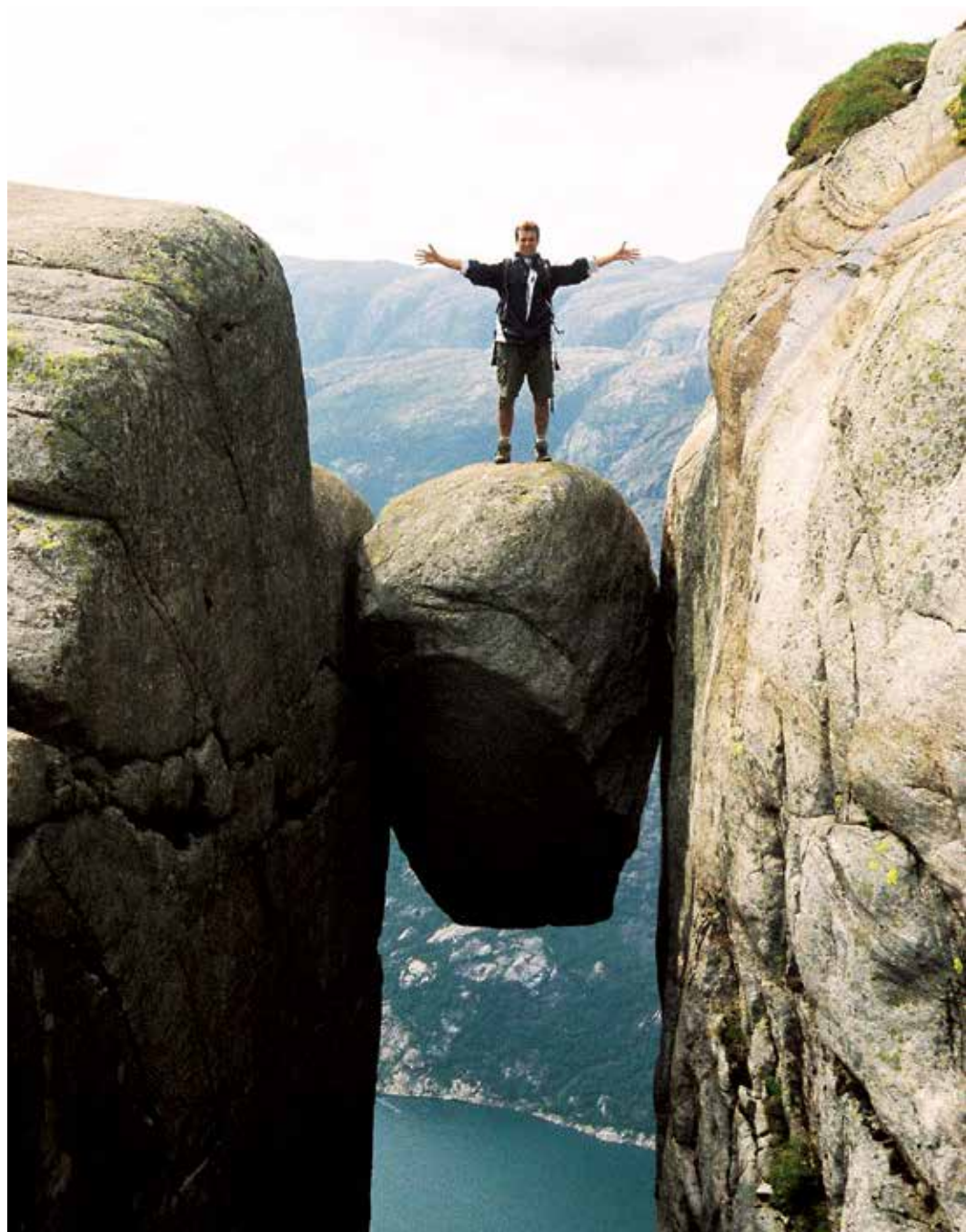
Julia Michalczewska

CHILE

Smoczy oddech

Pięćmilionowe Santiago de Chile nie bez powodu zwane jest przez swych mieszkańców Santiasco (po hiszpańsku asco znaczy wstręt). Ta romantycznie wyglądająca andyjska mgła w istocie jest gęstym smogiem. Aby ograniczyć ilość wydzielanych przez samochody spalin, władze codziennie publikują listę numerów rejestracyjnych pojazdów, które danego dnia nie mogą wyjechać na ulicę. Jak widać na zdjęciu, nie przynosi to widocznych efektów.





Piotr Idzikowski

NORWEGIA

Zachować równowagę

Kilkaset metrów, nad Lysefiordem, na wschód od Stavanger, złośliwe trole wcisnęły między skały olbrzymi kamień. A teraz człowiek musi się namęczyć, by na niego wejść, zejść i nie spaść.

Jarosław
Rzeniewicz

PORTUGALIA
Królewski
ogród

W Lizbonie jest ponad sto parków, ogrodów, farm, a nawet wielki las w centrum miasta. Wśród ogrodów wyróżnia się Park Edwarda VII z efektownie przyciętymi żywopłotami.



Adam Blokus

GRUZJA
Kamienne
baszty

Tuszeta pozostaje jednym z najmniej znanych rejonów Gruzji. Miejscowość Dartlo nie tylko wygląda na zagubioną w czasie. Jej mieszkańcy do dziś podróżują konno, a wysokie wieże wśród ich domostw pamiętają strażników wypatrujących nadciągającego wroga.

Adam Kutny

KAMBODŻA Mężczyźni z parasolkami

Minchów ze Świątyni
Miejskiej Angkor Wat
można spotkać tylko do
południa. Przechadzają
się oni po ulicach,
osłaniając przed słońcem
swoje ostrzyżone głowy
i pobierając datki od
turystów.



Janusz Kafarski

MAROKO

Piekło pustyni

Erg Chebbi. To najbardziej filmowy plener w Maroku wielokrotnie eksploatowany w hollywoodzkich produkcjach. Średnie temperatury w lipcu wahają się tu od 35 do 44 stopni Celsjusza. Zdjęcie wykonałem z tarasu hotelu, sącząc zimnego drinka.



Dariusz Małkowski

WŁOCHY

Pod żaglami Pogorii

Słońce, wiatr i wszystkie żagle na masztach. Nawet kapitan był urzeczony chwilą i poprosił mnie, pokładowego fotografa w tym rejsie, bym wsiadł do pontonu i z perspektywy morza wykonał serię zdjęć.



Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





Wojciech Albiński

MSZA ZA NIEPAMIĘĆ

Ksiądz Meyer siedział w kancelarii parafialnej. Był to pokój ciemny, rzadko wietrzony, na ścianach wisiały podobizny zasłużonych duchownych. Z foteli sypał się złoty proch, z doniczek wystawały martwe rośliny. Najlepiej trzymał się kaktus, każdego roku rodził kilka delikatnych szpilek.

Obok kancelarii stał kościół. Biały, o konstrukcji strzelistej, górował nad okolicznymi domami. Była to jedna z zamożniejszych dzielnic Johanesburga, mieszkali tu urzędnicy, administratorzy spółek, inżynierowie. Z biegiem czasu wprowadzili się także włoscy przedsiębiorcy i portugalscy rze-

mieślnicy. Starym i nowym mieszkańcom coraz trudniej było zrywać się na poranne msze, ale na godzinę szóstą stawiali się tłumnie. W wyprasowanych ubraniach, pachnący lawendą, przychodzili prosto z basenów i kortów.

Między trzecią a piątą ksiądz Meyer przyjmował wizyty parafian. Przychodzili, aby zamówić chrzest lub ślub, pobrać konieczne zaświadczenia. Zostawiali drobną kwotę i w pośpiechu wybiegali z chłodnego pomieszczenia na słońce.

Była za dziesiątą piątą, gdy zapukali państwo Smith, Jane i Alan.

– Mąż prowadzi administrację szpitala, a ja pracuję w aptece – pani Smith dokonała prezentacji. Ksiądz Meyer znał ich z widzenia, a nawet pamiętał, że w niedzielę przyprowadzali dwie skromnie ubrane dziewczynki.

Zachęceni, aby usiedli, zdjęli książki i gazety z krzeseł i uważnie położyli je na stole. Potem wymienili z gospodarzem kilka uprzejmych słów.

– Chcielibyśmy dać na mszę... – zaczął mężczyzna.

– Na czyją intencję?

– Na intencję mojego ojca – włączyła się do rozmowy pani Smith. – Ma na imię Anzelm.

Ksiądz Meyer otworzył grubą księgę i brał się do sporządzenia zapisu. – A więc będziemy się modlić o zdrowie dla naszego brata Anzelma?

– O nie – ostro sprzeciwiła się córka. – Chodzi o to, żeby mu się pogorszyło.

Minęło kilka chwil nim ksiądz Meyer pozbiierał myśli.

– Pogorszyło? – powtórzył ze zdumieniem. – Czy tak mam to ogłosić z ambony?

Kobieta wzięła na siebie obowiązek wyjaśnienia sprawy.

– Nie chcemy postępować pochopnie, Boże nas przed tym strzeż. Aby zrozumieć powody naszej prośby, musimy się trochę cofnąć w przeszłość.

– Proszę bardzo... – zgodził się gospodarz. – Mamy czas.

Zacząła od opisu wydarzeń sprzed dziesięciu laty... Bardzo chcieli tego uniknąć, lecz polityka się w ich życie wmieszała, po prostu nie było od tego ucieczki. Rozruchy studenckie. Młodzi ludzie nie mogli zrozumieć, dlaczego w kraju jest tyle okrutnych praw.

– Pamiętam – wtrącił ksiądz.

– Argument, że przyjdą komuniści, tylko budził śmiech... Nikt żadnych komunistów na oczy nie widział. Studenci żądali sprawiedliwości dla wszystkich, radykalnej zmiany ustroju.

– Tak było – zgodził się gospodarz.

– Alice, moja siostra, od dziecka pchała się na afisz – ciągnęła Jane Smith. – Wystarczyło jej czegoś zakazać, a natychmiast musiała to mieć. Nie idź, poszła, nie dotykaj, kładła rękę do ognia... Czy można się dziwić, że ciągnęło ją do manifestacji, namawiania robotników do strajków, że nie mogła żyć bez długich i gorących zebrań? Tych zebrań nigdy nie miała dość. Wytykała hipokryzję aktywistom, którzy wracali na kolację do domów. Ona, ku zgryzocie rodziców, przepadała nieraz na kilka dni.

Alan Smith tylko kiwał głową, potwierdzał

każde słowo żony. Pani Smith nabrała głębokiego oddechu.

– Można się z czymś nie zgadzać, można krytykować... Ale co innego płacić własnym życiem. Ale Alice nie uznawała półśrodków... Nie opowiadając się nikomu, zginęła na wiele tygodni. Przechodziła jakieś szkolenia, nie chciała powiedzieć gdzie. Po powrocie zrobiła się małowówna, uważna i wymijająca. Z boku obserwowała ludzi, robiła sobie znaki na karteczkach. Na temat znajomych zadawała pytania, ale o sobie nic... Niegdyś wesola dziewczyna, snuła się jak cień i grała rolę tajemniczego sfinksa.

– Bardzo się zmieniła – potwierdził pan Smith.

– Aż któreś nocy przepadła na dobre... Ktoś zadzwonił z Anglii, czy Tanzanii i radził, żebyśmy się o nią nie martwili.

– To była dobra dziewczyna – wtrącił Alan Smith. – Idealistyczna.

– Nie wątpię – zgodził się ksiądz Meyer.

– Byliśmy już małżeństwem od roku, gdy wieczorem ktoś zapukał do drzwi. Stała przed nami Alice, „Nie powinnam tu była przyjść. Przekroczyłam zasady konspiracji” mówiła ściszym głosem. A potem położyła zawiniątko na stole i rozwinęła koc. Była to dwumiesięczna dziewczynka. Prosiłiśmy, aby dłużej została, ale ona wskazała na czekający na ulicy wóz. Na pytanie, kto jest ojcem i czy wzięli ślub, odpowiedziała uragłowym śmiechem.

– I co dalej? – zapytał ksiądz.

– Dziecko jest naszą córką. Legalnie i pod wszystkimi względami... Tylko że jest mieszanej krwi. I myśli, że ja jestem jej matką.

Ktoś zapukał do drzwi. Ogrodnik wsadził głowę i spytał, czy powinien dzisiaj zgrabić liście.

– Zrobisz to jutro – zgodził się ksiądz.

– Przez dziesięć lat wszystko było dobrze... – wróciła do swej opowieści Jane Smith. – Z wyglądu dziewczynki są do siebie podobne. Dopiero ostatnio ojca dopadł jego wiek i słabość ulokowała się w głowie. Staje przed dzieckiem, patrzy uważnie i doszukuje się w nim obcych cech. A potem gada: „Dlaczego dobra rodzina Smithów miałyby rasowo zejść na psy? Trzeba dla ciebie znaleźć inną szkołę, czekoladko. Nie powinnaś uczyć się razem z białymi”. A dziewczynki odpowiadają: „Dziadku, czy nas nie poznajesz?”

– Często tak się dzieje?

– Teraz już prawie codziennie. Ostatnio odgrażał się, że pójdzie do szkoły i porozmawia z dyrektorem. Przedstawi się jako zgorszony obywatel... Członek społeczności, który sobie życzy, aby prawo było ściśle przestrzegane.

– To on nie wie, że nastąpiły polityczne zmiany?

– *Zapomniał. Lekarze mówią, że to się nazywa postępująca skleroza... Najpierw człowiek nie rozróżnia co dobre, a co złe, a w następnym stadium traci pamięć.*

„Co ja mam z nimi zrobić?” usilnie myślał ksiądz Meyer. „Powinni raczej pójść do znachora. Dałby im trochę proszku z utartej jaszczurki albo jakiś trujący liść?”

Spojrzał na grube księgi teologów. Lubił je czytać, szukał w nich pomocy. Ale teraz ogarnęły go pilne rozterki. Pani Smith wzięła jego milczenie za głęboki namysł. Dziwiło ją trochę, że ich niczym nie częstował. Kredensy puste, kołnierz wyświechtany... Jedna żarówka mruga, druga się nie pali... Stało się dla niej całkowicie jasne, że brak tu jest dbającej ręki.

– *Anzelm był dobrym człowiekiem, całe życie uczciwie pracował...* – Alan Smith usprawiedliwiał człowieka, z którym łączyły go przyjazne związki. – *Nie wiemy, co w niego wstąpiło. Może diabeł? A może to tylko choroba? Ciągłe dopytuje się o ojca dziewczynki... Gwałtownie się nim zainteresował. Kolorowy? Jaki kolorowy? Kolorowy z Capetownu z domieszką Malajów, czy prosty kolorowy, czarno-biały?*

– *Więc czego państwo ode mnie chcecie?* – zapytał zgnębiony proboszcz.

– *Na wyzdrowienie jest już chyba za późno...* – rozważała Jane Smith. – *Najlepiej jeśli ojciec całkowicie straci pamięć, a nie tylko częściowo.*

Zapadł wieczór i gospodarz zapalił wiszącą lampę. W kątach i za stertami książek ułożyły się głębokie cienie.

– *Ja nie mam takich sił...* – wyrzekł cichym głosem. – *Na pewno są jakieś sekty, które uczą jak szkodzić... Ja pracuję w przeciwnym kierunku.*

– *Dziecku łatwo jest poprzestawiać w głowie...* – mówiła jakby do siebie Jane Smith. – *Zacznie szukać, jak to się mówi, korzeni... W szkole roznieśli się wiadomości, że jest inna, rówieśnicy zaczęli ją gnębić żartami. To każą jej spacerować na rękach, a to bujać się na gałęzi... Na lekcji religii ktoś ją zapytał czy pochodzi od Sema, Jasety, czy od Chama?*

– *A co stało się z pani siostrą?*

– *Do dziś nie mamy żadnej wiadomości.*

W najbliższą niedzielę ksiądz Meyer stanął twarzą do wiernych. Po wiadomościach bieżących zawezwał do modłów o zdrowie parafianina Anzelma. Wygłosił przy tym przemówienie dość zawile, w którym wartościom moralnym przeciwstawił cud zapomnienia. Zebrani nie rozumieli

w czym rzecz, ale wierzyli, że intencja jest słuszna.

Minęło dziesięć dni od tej mszy. W kancelarii znowu siedzieli państwo Smith, na stole postawili butelkę likieru.

– *Zauważyliśmy wielką zmianę...* – relacjonowała córka. – *Mylą mu się daty i osoby. Przyszliśmy księdzu podziękować i chętnie dopłacimy do mszy.*

– *Och... Nie trzeba!*

– *Tylko charakter został mu ten sam... Chodzi po ogrodzie, wyrывa z korzeniami kwiaty i rośliny. Twierdzi, że na tym polega pielienie. Ale jego ataki biją w próżnię... Nikt nie będzie słuchał jego głupstw.*

– *A dziewczynki zdrowe?* – spytał proboszcz.

Oboje ściskali go za ręce.

– *Ksiądz jest cudotwórcą! Ojciec zaczął tracić pamięć natychmiast po mszy. A my ze swej strony, aby wspomóc modlitwę, przestaliśmy mu podarwać leki!* ◯

◯ Autorze...

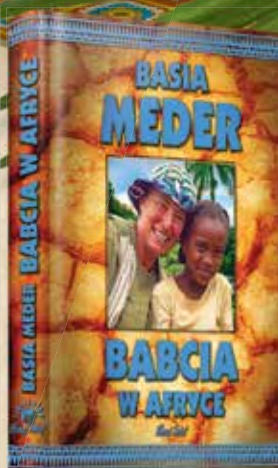


Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kęsa” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

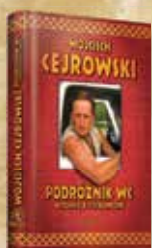


**KSIĄŻKI
POD PATRONATEM
„POZNAJ ŚWIAT”**



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł

**PODRÓŻNICZA
KSIĄŻKA ROKU
TRAVELER
2010**
przyznana przez
National
Geographic



Wojciech Cejrowski
PODRÓŻNIK WC
format: 145 x 205 mm



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł



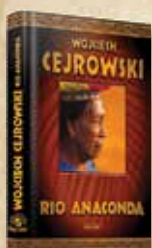
Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



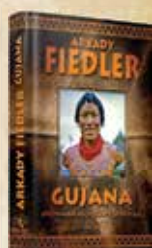
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł, 49 zł (zapachowa)



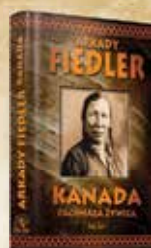
Wojciech Cejrowski
RIO ANACONDA
format: 145 x 205 mm



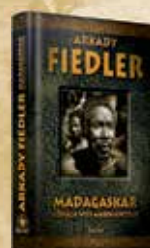
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł, 14,50 (opr. miękka)



Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITELO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49,90 zł



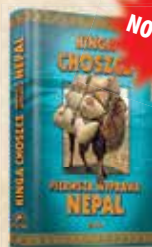
Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Kinga Choszcz
**PROWADZIŁ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



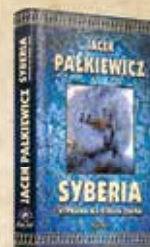
Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Michał Kruszonek
**RUMUNIA. PODRÓŻ
W POSZUKIWANIU DIABŁA**
format: 145 x 205 mm



Robb Maciąg
**ROWEREM PRZEZ CHINY,
WIETNAM I KAMBODŻĘ**
format: 145 x 205 mm



Jacek Pałkiewicz
**SYBERIA. WYPRAWA
NA BIEGUN ZIMNA**
format: 145 x 205 mm

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683
e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

EUROPA | Norwegia

LOTY NAD FIORDAMI W KOLEJCE DO PRZEPAŚCI

Daniel Klawczyński i Dominika Skonieczna





FOT. DANIEL M. AWGYZYNSKI I DOMINIKA SKONECZNA

Lysefjord należy do najpiękniejszych i najczęściej odwiedzanych zakątków Norwegii. Jedni przyjeżdżają tu dla widoków oglądanych podczas górskiej wędrowki. Inni podziwiają urodę fiordu z morskiego kajaka. Jest też wcale niemała grupa takich, którzy pragną poczuć oddech otchłani i rzucają się w przepaść z kilometrowego urwiska.







FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI / DOMINKA SKONECZKA

DUMA NORWEGII

Fiordy są dziełem lodowca. Najwięcej jest ich w zachodniej Norwegii. Najdłuższy Sognefjord ma długość ponad 200 kilometrów, ten na zdjęciu – Lysefjord – 42 km. Miejsce to słynie także z tysiącmetrowych skalnych urwisk, opadających pionowo do morza.



Dwa lata później Edvardsen zaczął organizować w tym miejscu ośrodek skoków BASE. Dziś urwiska Kjerag należą do głównych atrakcji nad Lysefjordem i cieszą się opinią najbardziej urzekającego i ekscytującego miejsca do uprawiania BASE jumping na świecie.

KRĘTĄ DROGĄ POŚRÓD SKAŁ

Obietnicą atrakcji jest już sama droga do położonej na końcu fiordu wioski Lysebotn. Jeszcze zanim skręciliśmy w słynną Lysevegen – tak nazywa się ten szlak – miejscowi mówili nam, że to co ujrzymy, nawet dla nich, przywykłych do pięknych widoków w swoim kraju, jest zachwycające. Twierdzili nawet, że jest to jedna z najbardziej malowniczych norweskich tras.

Gdy w Suleskard wjeżdżamy samochodem w tę wąską, ale dobrze utrzymaną górską drogę, krajobraz staje się coraz bardziej surowy. Wokół rozciągają się zapowiadane widoki. Co rusz mijamy malownicze jeziora i urokliwe wodospady. Gdzieś niedaleko wśród tego pustkowi pojawiają się domki letniskowe z dachami porośniętymi trawą.

Lysevegen, podobnie jak inna podobna droga Norwegii – Trollvegen (Droga Troli) jest pełna

Stein Edvardsen z Norwegii dopiero w roku 1992 zaczął pasjonować się skokami BASE. Nazwa to skrót angielskich słów: Building (budynek), Antenna (antena), Span (przęsło), Earth (ziemia) i oznacza skoki spadochronowe wykonywane z wieżowców, masztów, mostów i skalnych ścian. Stein miał na koncie tylko trzy takie skoki, kiedy w sklepie w Stavanger zobaczył na pocztówce zdjęcie Kjerag. Wpadające wprost do morza przepastne urwiska tej góry na obrazku wyglądały imponująco.

KĄŻDY IKAR Z ASEKURACJĄ

Niby-skrzydła stroju wingsuit pozwalają na wolniejsze opadanie, dając złudzenie lotu. Przy lądowaniu spadochron jest jednak niezbędny.



DO ZAKOCHANIA JEDEN KROK
Kto raz skoczył, ten pokocha
ten sport na zawsze.





FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI / DOMINIA SKONECZNA

zakrętów i należy do skrajnie trudnych. Dla ruchu samochodowego jest udostępniona jedynie od maja do października i to tylko wtedy, kiedy pozwalają na to warunki atmosferyczne. Zimą do Lysebotn można dotrzeć tylko od strony morza: promem.

Pokonawszy niezliczoną liczbę zakrętów docieramy wreszcie do dużego parkingu w Øygardstol, skąd ścieżka wyprowadza na płaskowyż i szczyt Kjerag oraz do Kjeragbolten – słynnego głazu uwiecznionego w szczelinie skalnej nad fiordem.

Przy restauracji z miejscem widokowym oglądamy plakaty, na których przedstawiono możliwości aktywnego spędzania czasu w tej okolicy. Oprócz BASE jumping, który nas tu przywiódł, można też wędrować po górach, wspinać się, latać na paralotni, a zimą uprawiać wspinaczkę lodową po zamrzniętych wodospadach.

SKOKI NA LEGALU

Tysiącmetrowe zerwy – osuwiska skalne Lysefjordu są szczególnie atrakcyjne dla turystów szukających mocnych wrażeń. Dla skoczków ekstremalnych co roku w ostatnich dniach czerwca organizowana jest impreza „Helicopter Boogie”. Heliboogie to ich

prawdziwe święto. Zjeżdżają na nie z całego świata. Spotyka się tu wówczas ponad setka śmiałków. Takie zgromadzenie to niecodzienny widok. Pasjonaci tych skoków zwykle działają samodzielnie, często w ukryciu i... z naruszeniem prawa. Na przykład w Stanach Zjednoczonych władze zamknęły większość kultowych tak zwanych exit pointów – punktów, z których możliwy jest skok ze spadochronem.

Norwegowie podeszli do sprawy zupełnie inaczej. W maleńkim i na co dzień bardzo spokojnym Lysebotn przygotowano dla skoczków cały zestaw udogodnień. Dzięki staraniom powołanego przez Steina Edvardsena klubu powstała tu swojego rodzaju oaza dla BASE jumperów. Jest to chyba najbardziej przyjazne w świecie miejsce do uprawiania tego sportu.

Zamiast zakazywać, Norwegowie zadbali o bezpieczeństwo skoczków. Przede wszystkim każdy, kto chce spróbować swych sił nad Lysefjordem, musi już mieć za sobą wykonanie określonej liczby skoków albo ukończyć na miejscu jednodniowy, kosztowny kurs. Żeby skakać w specjalnym kostiumie tzw. wing suit, z nibyskrzydłami umożliwiającymi dłuższe szybowanie, chętny musi udowodnić, że wcześniej przynajmniej 20 razy skoczył w tym stroju.

ODLOT Z DOPALACZEM

Dymią się jeszcze, odpalane tuż przed skokiem, świece przymocowane do butów. Przez chwilę po wylądowaniu skoczek może zobaczyć na niebie pozostawiony przez siebie ślad.

MNIEJSZE LUB WIĘKSZE, ALE ZAWSZE EKSTREMUM

Żeby stanąć na szczycie Kjerag trzeba najpierw podjechać samochodem krętą drogą z wieloma tunelami, na parking położony na wysokości 640 metrów. Wyżej prowadzi tylko piesza ścieżka. Ponad trzygodzinny marsz ze spadochronem na plecach jest dość wyczerpujący.

Na zboczach masywu Kjerag wyznaczono 7 punktów do skoków. Te najbardziej atrakcyjne (i zarazem najwyższe) są tak usytuowane, że lot z nich zawsze kończy się w wodzie. Jedynie skok ze szczytu monumentalnego Smellveggen pozwala wylądować na równinie zamykającej fiord. A i to nie zawsze.

SPADAĆ JAK NAJCZĘŚCIEJ

Kiedy w Lysebotn nie odbywa się Heliboogie, skoczek w ciągu dnia może wykonać najwyżej dwa skoki. Trzeba wstać wcześniej rano, aby dotrzeć na ścianę zanim wiatr przybierze na sile. Można wtedy samotnie obcować z przestrzenią. Ta możliwość najbardziej pociąga nas w BASE. W takich chwilach czujemy się mali i słabi. A jednak starcza odwagi, by podjąć to wyzwanie i rzucić się w przepaść. I wylądować. Wygrać.

Każdy skoczek marzy o wykonaniu jak największej liczby skoków w ciągu jednego dnia. Możliwe jest to właśnie podczas Heliboogie, w której wykorzystywane są śmigłowce. Wówczas można wykonać dziennie nawet pięć skoków. Helikoptery od samego rana zaczynają wywozić śmiałków na małą polankę w pobliżu uskoku. Stamtąd skoczkowie schodzą do wyznaczonych punktów, ubierają sprzęt i czekają na swoją kolej.

Na krawędzi przepaści stoi „wyrzucający”, który utrzymuje kontakt radiowy z bazą na lądowisku. To on daje zielone światło do skoku. Wszystko po to, aby uniknąć ewentualnych kolizji w powietrzu i ustrzec skoczków przed niebezpiecznymi podmuchami wiatru (na dole znajduje się punkt meteorologiczny). Na wodzie w gotowości czeka łódź.

Pionowa ściana Kjeragu działa na miłośników tego sportu niczym miód na misia. Tutaj można wykonać skok z opóźnieniem 25 sekund (czasami więcej), a w stroju wing suit nawet dużo dłuższym. Niewiele jest podobnych miejsc na świecie. Szacuje się, że w ciągu sześciu lat oddano tu ponad 30 tys. skoków! Podczas ubiegłorocznej imprezy z urwiska skakano kilkaset razy. Zdarzył się tylko jeden wypadek, gdy BASE jumperka, a raczej pieremyczka z Rosji złamała nogę.



FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI / DOMINIKA SKOŁECKA

STYL TO CZŁOWIEK

Są różne metody zmierzenia się z przepaścią.
Można to robić z rozbiegu, z przechyłu,
z wyskoku, być wyrzuconym przez kolegów.
Samodzielnie, w parze, w szeregu...



KAMERA! AKCJA!

Skoczek ma przynajmniej jedną kamerę. Utrwalony na niej film pozwala na powtórkę emocji.





SPEKTAKL, A POTEŃ WĘDRÓWKA

Obserwowanie skoków jest także turystyczną atrakcją. Wyczyny skoczków ekstremalnych podziwiane są zarówno z lądu jak i z wody (statki wycieczkowe specjalnie zatrzymują się, by pasażerowie mogli oglądać to widowisko). Znacznie bardziej emocjonujące jest jednak oglądanie skoczków z perspektywy miejsca startu.

Heliboogie organizowane jest w czasie przesilenia letniego, kiedy słońce ledwie chowa się za horyzont. Po całym dniu spędzonym na fotografowaniu skoczków, możemy jeszcze przez kilka godzin wędrować po odludnym, skalnym płaskowyżu – bo wciąż jest jasno. W środku nocy bez problemu można poruszać się nawet w najtrudniejszym terenie.

PARALOTNIE, KAJAKI I ROWEROWE SZLAKI

Paralotnie szybujące nad turkusowym lustrem fiordu to także wspaniałe widowisko. Przy odpowiednim kierunku wiatru paralotniarz jest w stanie nie tylko wykonać długi zlot, lecz także z powodzeniem szybować nad koroną urwiska. To zaśluga

odbijających się od klifu, wznoszących podmuchów wiatru – lotniarze nazywają to zjawisko „efektem żagla”. W ten sposób latam także nad polskim wybrzeżem klifowym, jednak loty nad norweskimi fiordami dostarczają mocniejszych doznań.

Ciekawą propozycją aktywnego spędzenia czasu są także morskie wycieczki kajakowe. Organizowane z przewodnikiem pozwalają poznać Lysefjord z poziomu morza. W programie jest między innymi możliwość podziwiania z bliska wodospadu Hengjaneffossen o wysokości 400 metrów, a także wizyta na skalnym przylądku, gdzie lądują skoczkowie. W czasie wiosłowania w pobliżu nabrzeżnych skał często można oglądać fokę, tu są zupełnie niepłochliwe.

Najbardziej wygodną formą zwiedzania jest rejs statkiem wycieczkowym. Warto wspomnieć, że Lysefjord to również prawdziwy raj dla wędkarzy.

Nam, zapamiętałym rowerzystom, najbardziej brakowało rowerów, które nie zmieściły się do auta. Z zazdrością patrzyliśmy na cyklistów, którzy bez żadnych obaw poruszali się po norweskich krętych drogach. Można tu jeździć także w terenie, po szutrowych trasach i ścieżkach, których podłoże jest tak twarde, że jazda nie stanowi problemów. ○

PRZEKRACZAJĄC BARIERY

Kanadyjczyk Lonni (mężczyzna na wózku) to legenda BASE. Wciąż uprawia ten sport, choć od pięciu lat po nieudanym skoku jest częściowo sparaliżowany. Tym razem, aby mógł skoczyć, przyjaciel wziął go na plecy i razem runęli w przepaść. Potem szybował już samodzielnie.



Polska

NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Dania



Anglia



Poraj na ziemi



54°65' N 17°59' E

11 km na południe od Łeby

Poraj jest małą osadą kaszubską położoną w województwie pomorskim, w powiecie lęborskim, w gminie Wicko. Jest to wymarzone miejsce dla tych, którzy pragną wypoczynku z dala od zgiełku cywilizacji. Lasy otaczające osadę pełne są dzikiej zwierzyny, łąki – wędrujących bocianów, a rzeka Łeba – bogata w ryby. Poraj położona jest na obrzeżach Słowińskiego Parku Narodowego, który słynie z piaszczystych plaż, przybrzeżnych jezior, nieskażonej przyrody oraz niepowtarzalnych wydm ruchomych. Poraj jest alternatywą dla zatłoczonych kurortów nadmorskich. Wypoczynek na „łonie matury” można połączyć z wypadami nad morze.

Warto zatrzymać się w zabytkowym Hotelu Poraj. Otacza go stary park o powierzchni 9 ha, z trzema stawami i wyspą. Znajduje się tu ciekawa Przystań Galeria Rzeźb. Wystawione prace prezentują różne style i formy. Autorami ich są uznani współcześni twórcy. Co roku organizowany jest też Złot Starych Mercedesów. Hotel otrzymał Pierwszą Nagrodę w Konkursie Agroturystyka Roku 2004, a restauracja słynie w całym regionie.

www.palacporaj.pl



48°51' N 10°30' E

około 25 km na północny zachód od Donauwörth

Miasto w kraterze

Niemcy Bawaria

Nordlingen to malownicze bawarskie miasteczko leżące nad rzeką Eger. Nie zostało zbombardowane podczas II Wojny Światowej, więc dziś można podziwiać tu autentyczną średniowieczną zabudowę, a także otaczające całe miasto stare mury obronne. Inna atrakcja Nordlingen związana jest z wydarzeniem, które miało miejsce około 14,5 miliona lat temu. W miejsce, gdzie dziś jest miasto, uderzył meteoryt o średnicy ok. 1 km i wyłobił ogromny krater. Całe Nordlingen leży w jego zagłębieniu. Tutaj w 1970 roku astronauta misji Apollo trenowali obserwację struktur geologicznych przed lotem na księżyc. W Rieskrater Museum znajdują się kawałki metorytu.



Spacerkiem po Sopocie

FOT. URZĄD MIASTA SOPOTU

Sopot od strony lądu osłaniają zalesione wzgórza morenowe, a od strony morza Półwysp Helski. Dzięki temu wody sopockich plaż są cieplejsze niż w innych miejscach nad Bałtykiem. Niepowtarzalny charakter nadają miastu secesyjne kamieniczki i wille otoczone drzewami, zabytkowe parki oraz piękne, zadbane ogrody. Sopot nigdy nie śpi... Nawet o 6 rano kurort jest pełen życia. Z połowów wracają właśnie rybacy. W ich przystani codziennie można kupić świeże ryby i obejrzeć ekspozycję łodzi i sprzętu rybackiego, a także zadumać się przy drow-

nianej kapliczce w intencji „szczęśliwego powrotu z morza”. Można spacerować po pięknych sopockich plażach, które rozciągają się na długości 4,5 km. Idealnym miejscem na zdrowy spacer jest najdłuższe w Europie drewniane molo (stężenie jodu na końcu mola jest dwukrotnie większe niż na lądzie).

Wieczorem, życie przenosi się na słynny deptak – Monciak, kuszący pubami, restauracjami, dyskotekami i kawiarniami. W Sopocie działa ich ponad 250.



54°26' N 18°33' E

miasto na prawach powiatu położone pomiędzy Gdańskiem i Gdynią



FOT. URZĄD MIASTA SOPOTU



www.sopot.pl



FOT. URZĄD MIASTA SOPOTU



FOT. URZĄD MIASTA SOPOTU



Polska Podgórzyn

Gmina przyjazna z natury

Podgórzyn to górskie gmina położona w samym sercu Karkonoszy. Miejsce stwarza wiele możliwości do aktywnego wypoczynku. Górskie trasy gwarantują piękne widoki, jest tu ponad 50 km szlaków rowerowych. Są również skałki do wspinaczki, szlaki do pieszych wycieczek i uprawiania nordic walking, ośrodki jazdy konnej, całoroczny kort tenisowy, hala sportowa i boiska. Dla podróżujących z dziećmi niewątpliwą atrakcją jest kowbojskie miasteczko „Western City”, przenoszące do czasów Dzikiego Zachodu oraz „Cyrkoland”, gdzie spotkać można tygrysa bengalskiego, pojeździć na wielbłądzie lub wziąć udział w warsztatach sztuki cyrkowej. Chętnym do obcowania z kulturą, Podgórzyn oferuje koncerty w otoczeniu zabytkowego założenia pałacowo-parkowego w Stanisławowie oraz w kościołach na terenie gminy – w ramach „Festiwalu Muzyka Stanisławskie”. Można wybrać się na ciekawą wycieczkę szlakiem zabytków i historii, zwiedzając „Dolinę Pałaców i Ogrodów”, zabytkowe kościoły i kaplice.

www.podgorzyn.pl



Sportowcy mogą uczestniczyć w wielu atrakcyjnych imprezach. Oto tylko niektóre z nich: „Akademyjne Mistrzostwa Polski w kolarstwie górskim”, marsz na orientację z psami: „Dog trekking”, kąpiel Morsów pod Wodospadem Podgórzyn, zloty samochodów i wiele innych.

50°49' N 15°41' E

Anglia Manchester

53°29' N 02°15' E

Manchester jest położony u podnóża Gór Pennińskich, nad rzeką Irwell.



Barką pod miastem

Szczególną osobliwością Manchesteru są kanały wytyczone często pod powierzchnią ziemi z systemem ręcznie otwieranych śluz. Są one fragmentem dawnej sieci dróg wodnych obejmujących niemal całą Anglię. System ten umożliwiał tani i sprawny transport surowców oraz produktów, przyczyniając się do rozkwitu ówczesnego angielskiego przemysłu.

Kanały czynne są do dziś. Nie wspierają już przemysłu, służą turystyce wodnej. Ze względu na wąskie komory śluz i niedużą szerokość kanałów tutejsze barki to długie i wąskie stateczki, których nadbudówki przyciągają wzrok mnogością barwnych detali. Wewnątrz znajdują się eleganckie salony, sypialnie i w pełni wyposażone mini-kuchnie okrętowe.

Wiosną i latem kolorowe eskadry barek wyruszają na szlaki Anglii i przy odrobinie szczęścia można trafić w manchester-skich kanałach na śluzowanie tych niezwykłych „pływadeł”, a nawet uczestniczyć w ich przeprawie przez kolejne stopnie wodne. Uderza przy tym precyzja sterników, którzy perfekcyjnie manewrują swoimi jednostkami na niewielkich wąskich akwenach. Wiele firm oferuje turystom wczasy na barce i choć są one drogie, cieszą się dużą popularnością, zwłaszcza wśród tych, którzy chcą zobaczyć starą Anglię od innej strony.



W poszukiwaniu skarbu Templariuszy

 55° 5' N, 14° 56' E

lu miejscach przedstawiają dziwne postacie z głowami psa, gwiazdozbiory itp. Tego typu znaki spotykane są w świątyniach Templariuszy w południowej Francji. W XII wieku w Rydze powstał odłam zakonu Templariuszy, zwany zakonem Kawalerów Mieczowych. To jego członkowie zarządzili przez pewien czas obszarem południowego Bałtyku, stacjonowali też na Bornholmie. Prawdopodobnie to właśnie kawalerowie mieczowi zbudowali te świątynie. Wiadomo powszechnie, że templariusze byli mistrzami w budowaniu tajemnych przejść i ukrytych komnat. Badania wykazały, że pod kościołem w Østerlars – największą z bornholmskich rotund – mogą się znajdować nieznane dotąd pomieszczenia. Czyżby część legendarnego skarbu templariuszy miała spocząć właśnie tu, na Bornholmie? Wszystko to jednak tylko hipotezy, a często jedynie legendy. Polecamy wycieczkę na Bornholm, by odkryć te niezwykle tajemnice...

www.visitdenmark.pl

Malownicze rotundowe kościoły stanowią swoistą wizytówkę Bornholmu. W tej części Europy, są jedynymi obiektami sakralnymi o okrągłym kształcie, których pochodzenie jest do dziś owiane tajemnicą. Zastanawiająca jest także lokalizacja podobnych w swoim kształcie świątyń na tak niewielkim obszarze. Nasuwają się tu pewne podobieństwa do charakteru kościołów budowanych przez zakon Templariuszy. Freski, znajdujące się w największym z okrągłych kościółków w Østerlars, w wie-

Średniowieczne maszyny

 54°02' N 19°02' E

Największa na świecie wystawa średniowiecznych maszyn oblężniczych powstała na zamku w Malborku. Kolekcja została wykonana przez poznańską firmę Siege Studio na obchody 50-lecia muzeum zamkowego. Atrakcją kolekcji jest 15 metrowa wieża oblężnicza zaopatrzona w bojowy kasztel oraz kładkę desantową. Uwagę przykuwa również ogromny 13-metrowy trebusz. Ta maszyna miotająca mogła wystrzelić 25-kilogramowy pocisk na odległość około 180 metrów. Niezwykle cennym eksponatem jest ciężki, 10-metrowy taran, zakończony żelaznym okuciem w kształcie głowy. Musiały go dzwigać 24 osoby. Wszystkie maszyny zrekonstruowane zostały na podstawie zachowanych materiałów źródłowych z najwyższą dbałością o szczegóły i przy zastosowaniu oryginalnych średniowiecznych technik rzemieślniczych. Ogrom eksponatów prezentowanych w Malborku zachwyca



nie tylko pasjonatów, ale przede wszystkim dzieci i osoby ceniące sobie różnego rodzaju osobliwości i ciekawostki. Ta unikatowa kolekcja pokazuje niezwykłą sprawność oraz pomysłowość naszych przodków w trudnej sztuce zdobywania i obrony dawnych twierdz.

siegestudio.com



 **Hannah**
OUTDOOR EQUIPMENT

seria: Comfort

ilość miejsc: 2

waga: 3 300 g

wymiar po spakowaniu: 15 x 45 cm

wodoodporność: tropik 3000 mm / podłoga 7000 mm

**CREEK 2: stabilny namiot z materiałów o wysokiej jakości.
Szeroki zakres użytkowania w każdych warunkach pogodowych.
Wystarczająco przestronny dla dwóch osób.
Dwa drążki, jedno wejście, jedna absyda.**

www.sklep.hannah.pl

www.hannah.pl



Boję się o nasze bazy. Co najmniej raz w tygodniu wpadam pod Halę Banacha w Warszawie, by kupić warzywa i owoce, miód, czasem kaszę na wagę. Bazar dzieli się na część przemysłową od strony Banacha i spożywczą wzdłuż Grójeckiej za halą. Nie ma jeszcze terminu, ale już wiadomo, że część przemysłowa zostanie zlikwidowana, hala zresztą również przestanie istnieć.

A BAZARÓW ŻAL



Boję się o nasze bazy. Co najmniej raz w tygodniu wpadam pod Halę Banacha w Warszawie, by kupić warzywa i owoce, miód, czasem kaszę na wagę. Bazar dzieli się na część przemysłową od strony Banacha i spożywczą wzdłuż Grójeckiej za halą. Nie ma jeszcze terminu, ale już wiadomo, że część przemysłowa zostanie zlikwidowana, hala zresztą również przestanie istnieć. W ich miejsce staną apartamentowce z jakimś karfurem albo innym oszajem na parterze. Zamiast ciepła, ludzi i zapachów będzie mrożonka i plastik. Podobno część spożywcza bazaru od Grójeckiej ma przetrwać, pod warunkiem, że właściciele drewnianych budek zmieniają je w metalowo-plastikowe boksy, co ma być oznaką skoku cywilizacyjnego. Jest taka teza, że likwidowanie bazarów w Polsce jest naturalnym procesem, z którym trzeba się pogodzić. Znikły baby

ze wsi sprzedające ser i jajka pod blokami, znikli ostrzyciele noży, którzy chodzili po podwórkach z podręczną szlifierką, ba, znikły nawet mety! To i bazy muszą zniknąć.

To brednia oczywiście. Nikt normalny na świecie nie pozbywa się bazarów.

W każdym dużym mieście, w kraju rozwiniętym i niedorozwiniętym, są one nieodzowną częścią miasta. Bazy, które pachną kwiatami i owocami, śmierdzą serem i mięsem, mienią się kolorami, brzmia ludźmi i spływają rynsztokami. Tak jest w Paryżu, Bamako, Kairze, Londynie, Nowym Jorku i Akrze. A my na własne życzenie odbieramy sobie jeden z najbardziej typowych wytworów miejskiej cywilizacji, za kasę i obietnicę pseudonowoczesnego błichtru wyprzedajemy diabłu z firm deweloperskich duszę dzielnicy. Jakby ktoś szukał oznak naszych kompleksów, pro-

wincjonalizmu i zacofania to niech liczy zamykane w Polsce bazy i targowiska. Teraz na wiosnę bazar to jest ostoja więzi międzyludzkiej i bastion polskiej mowy: „pomidor słodki mięsisty, zapylany przez trzmiele”. Gdzie, jeśli nie na bazarze zobaczą takie słowa wypisane odręcznie na brązowej tekturze zatkniętej w skrzynkę pełną owocem?

Do wyboru: malinowy, buła, gargamel. Krajowy, ma się rozumieć. Jabłko do wyboru do koloru: kosztel, alwa, jogoland, golden, rubin, kortland, ligol i jeszcze z dziesięć innych. Niektóre winne soczyste, inne o smaku gruszkę; gruszki twarde i słodkie: konferencja, julian, lekko korzenny, rozpyływający się; ziemniaki: kuklik, amerykański młody krajowy; czosnek polski młody, ogórek wysmienity, cukinia krajowa.

W liczbie pojedynczej podawane: ziemniak, a nie ziemniaki, jabłko, a nie jabłka,

gruszką, truskawką, seler – czule, z szacunkiem i miłością, a nie bezdusznym i anonimowym hurtem.

Lubię jak pani wsypuje kaszę na wagę do plastikowej torebki. Są wszystkie rodzaje: jest gryczana i jaglana, pęczak i perłowa, jest kukurydziana i manna, chociaż tych dwóch ostatnich nie lubię. I miody: rzepakowy, akacjowy, gryczany i spadziowy, wielokwiatowy i nawłóć, pakowane w zwykłe słoiki, nie żadne tam plastik, zdobione pieczętkami z nazwiskiem pszczelarza, jak trzeba. Tylko takie są wiarygodne, reszta – czym ładniej zapakowane, tym bardziej podejrzane.

Ale bazar to nie tylko towar, ale przede wszystkim ludzie. Gdzie idziesz po wylądowaniu w obcym egzotycznym mieście żeby pooglądać miejscowych, podsłuchać melodii ich mowy, pośmiać się z nimi, podpatrzeć język ich ciała?

Na rynek oczywiście. Bazar to jest życie, które dzieje się na naszych oczach, wyciskane jak sok w wirówce, mielone jak mięso w maszynce. Le Grand Marche w centrum Bamako, Khan el-Khalili w Kairze, Makola w Akrze, targ w Lewisham we wschodnim Londynie, w Paryżu rozkładały dwa razy w tygodniu wzdłuż bulwaru

Grenelle od metra Duplex, czy bazar pod Halą Banacha – wszystko jedno. Chcesz poznać prawdziwych ludzi, poczuć zapach i smród miasta, uchwycić jego rytm? Przecież nie znajdziesz tego w centrum handlowym: wypasionym, oreklamionym, odhumanizowanym, skropionym wszelkimi możliwymi truciznami na ludzi.

Jak dla mnie afrykańskie bazyry biją inne na głowę, a Le Grand Marche bije na głowę te w Afryce, które miałem okazję widzieć. Miejskie targowisko umieszczone w labiryncie wąskich, błotnistych uliczek wypełnione tysiącami ludzi próbującymi poruszać się we wszystkich kierunkach, ale to niemożliwe, bo ruch zastyga w miejscu. Korek złożony z wózków, ogromnych samochodów dostawczych, rowerów i ludzi. Z nieba leje się zwykle 40-stopniowy żar, nogi grzezną w błocie, w powietrzu pływa nieprawdopodobny smród, zwłaszcza w miejscach, gdzie handluje się mięsem i rybami. Jakież owcze głowy, krowie ozory i ogony, najtańsze gatunki mięsa, wokół czarne obłoki much, psy, które wyjadają resztki spod stołów, matki karmiące niemowlęta, półnagie dzieciaki bawiące się między stoiskami. Gdy odwiedzałem Bamako w wielu bok-

sach mężczyźni rozkładali dywaniki i modlili się, bo to był czas Ramadanu. Chcesz wiedzieć gdzie przyjechałeś – idź na bazar! Po zamknięciu Stadionu tamtejsi handlarze rozsypują się po całym mieście, niedaleko mnie na Bakalarskiej powstaje średniej wielkości międzynarodowy bazar. Są tu Czeczeni i Ukraińcy, Polacy i Wietnamczycy, czarni mieszają się z białymi i żółtymi. Jakoś wspólnie żyją dając prawdziwy początek wielokulturowej Warszawy. Popijają kawę z plastikowych kubków, zjadają grube buły przygotowane wcześniej w domu i czekają godzinami na klienta, który przyjdzie albo i nie, pogada albo i kupi. Przeganiani z miejsca na miejsce, wczepieni w siebie i te stopy za dwie dychy. Za trzy dychy można by się tu pewnie ubrać od stóp do głów i jeszcze reszty zostałyby na kebab u Turka.

Nie chcę, żeby takie miejsca zniknęły z pejzażu nowej Warszawy, cieszę się, gdy powstają nowe. Handlarze spod Hali Banacha bronią się przed decyzjami władz miejskich, protestują, wywieszają na swojej obronę zdjęcia bazarów z największych miast na świecie. Jeśli nie przetrwają, sami sobie będziemy winni. ○



GNIEZNO MIASTO KRÓLEWSKICH WYDARZEŃ!

Gniezno to Pierwsza Stolica Polski, miasto z tradycjami, które cały czas żyje pełną piersią.

Gniezno zaprasza na interesujące imprezy, w których trzeba wziąć udział. Każdy przybysz poczuje się tutaj po królewsku!

Królewska atmosfera jest tu odczuwalna na każdym kroku. Swoją siedzibę miała w Gnieźnie dynastia Piastów rządząca dawną Polską. W 1025 r. koronowano tu Bolesława Chrobrego – pierwszego króla Polski.

Miasto wypełnione jest zabytkami ważnymi dla polskiej historii. Najważniejszy z nich to katedra. Znajduje się w niej m.in. relikwiarz św. Wojciecha – patrona Polski oraz Drzwi Gnieźnieńskie, jeden z ważniejszych zabytków plastyki romańskiej w Europie.

GNIEZNO ZAPRASZA na Koronację Królewską w dniach 30 i 31 lipca 2011 r.

Więcej informacji na stronie www.krolewskieGniezno.eu



Paweł Chudzicki

Z KŁĘSKĄ W TLE

Odkąd na świat przyszła nasza córka Matylda, w planach wyjazdowych bierzemy pod uwagę tylko te miejsca, po których można bezpiecznie podróżować z małym dzieckiem. Dlatego na liście krajów, które chcielibyśmy zobaczyć, pojawiła się Japonia. W lutym dowiedzieliśmy się o promocji Aeroflotu na lot z Warszawy przez Moskwę do Tokio. Niewiele się zastanawiając kupiliśmy bilety – wylot na początku marca i powrót na początku kwietnia.

Dopiero, gdy zaczęliśmy bardziej szczegółowo planować wyjazd, zaczęły się wątpliwości, czy stać nas na miesięczny pobyt w Japonii. Okazało się, że ceny, zwłaszcza za noclegi, są dużo wyższe niż przypuszczaliśmy. Ponieważ mieliśmy dobre doświadczenia z CouchSurfingu z Rosji i Izraela, postanowiliśmy i tym razem skorzystać z tej metody taniego podróżowania. Umożliwia ona nawiązywanie bezpośrednich kontaktów z mieszkańcami odwiedzanych krajów i korzystanie z darmowych noclegów w ich domach. Po miesiącu mieliśmy już wielu chętnych do ugoszczenia pod swoim dachem pary z dziesięciomiesięcznym dzieckiem.

ZASNAĆ W KAPSULE

Po wylądowaniu na lotnisku Narita pod Tokio przeżywamy pierwszy szok kulturowy – wszyscy są niezwykle uprzejmi, celnicy usłużni, a przy stanowisku do wypełniania dokumentów, oprócz długopisów, znajdujemy kilka par okularów o różnej sile szkieł. Na mapie otrzymanej w informacji turystycznej lokalizujemy położenie naszego hotelu kapsułowego. To japoński wynalazek z miejscami noclegowymi, których rozmiar



przywodzi na myśl kapsuły kosmicznego pojazdu.

Krótką drogą z lotniska okazuje się dość skomplikowana. Japońska infrastruktura kolejowa jest nadzwyczaj rozbudowana i sprawna, ale potrzeba czasu, żeby się w niej zorientować. Podoba się nam system opłat – można kupić najtańszy bilet i przy wyjściu z metra dopłacić ewentualną różnicę w cenie.

W końcu docieramy do hotelu. Kapsuły są faktycznie małe, choć i tak zarezerwowaliśmy te większe – dwa na

Wieżowiec, w którym mieszkają Kenji i jego żona Yasue, przypomina nasze bloki, ale upiększają go liczne tarasy porośnięte trawą i ogródki na dachu. Po obowiązkowym zdjęciu obuwia w wydzielonym genkan, zostajemy wprowadzeni na tatami. Jest to przestrzeń wyłożona matami, która po zamknięciu suwanymi drzwiami staje się osobnymi pokojami.

Nazajutrz jedziemy do dzielnicy Harajuku oglądać młode cosplay-zoku, czyli zbuntowaną na sposób japoński młodzież.

TRZY MILIONY NA PERONIE

Następnego dnia rano zaczyna padać śnieg i robi się zimno, więc cieszymy się, że wzięliśmy czapki i rękawiczki. Jedziemy na spotkanie kolejnego gospodarza. By dotrzeć w umówione miejsce musimy zmienić linię metra na najbardziej ruchliwej tokijskiej stacji, Shinjuku. Obsługuje ona trzy miliony ludzi dziennie i jest jednym z najbardziej zatłoczonych dworców świata. Ma kilka poziomów i sześćdziesiąt wyjść na powierzchnię. Gubimy się jeżdżąc niezliczoną ilością wind i odwiedzając kolejne pokoje do przewijania dzieci. Na spotkanie z Shigeakim spóźniamy się dwie godziny. Nasz gospodarz ma na szczęście wolny dzień, nie gniewa się z powodu spóźnienia i ochoczo zabiera nas na zwiedzanie dzielnicy Shibuya. Wjeżdżamy na taras widokowy na wieżowcu, na wysokość dwustu metrów. Z czterdziestego piątego piętra roztacza się panorama niczym z filmów Science Fiction.

W nocy Matylda daje znać, że nie przestawiła się jeszcze z czasu środkowoeuropejskiego na lokalny i o czwartej nad ranem chce się bawić. Sporo czasu mija, nim udaje się ją uspić. Rano Shigeaki nie daje po sobie znać, że również nie przespał tej nocy i grzecznie odprowadza nas na stację. Jedziemy do Kioto

ZIEMIA SIĘ TRZĘSIE

Stara stolica Japonii ma przyjemną, niską zabudowę i liczne miniaturowe domki wielkości altanek. Szczególnie podoba nam się trakt Ninnen Zaka & Sannei-Zaka, co oznacza: „Drogi Dwuletniego i Trzyletniego Wzgórza”. Są tu uliczne stoiska z miejscowymi przysmakami, knajpki z ogrodami japońskimi i stragany z chińską tandetą.

Nasz tutejszy host, Masashi, jest Couch Surferowym wyjadaczem. Gości przyjmuje według przygotowanego wcześniej grafiku. Razem z nami mieszkają u niego dwie Niemki. Sam też dużo po-

d w a
metry.

Wieczo-

rem wy-
chodzimy na

miasto. I znowu
przeżywamy szok:

klaniają się nam poli-
cjanci na ulicy! Po powrocie,

obsługa hotelu widząc, że jesteśmy

z małym dzieckiem proponuje zmianę kapsuły na pokój w tej samej cenie. Jest niewiele większy, za to z mikroskopijną składaną toaletą.

Rano pod hotelem spotykamy się z Kenji – naszym hostem, gospodarzem, u którego będziemy nocować. Jest chyba bardziej przejęty od nas. Jesteśmy jego pierwszymi gośćmi z CouchServingu.



COSPLAY-ZOKU W HARAJUKU

Harajuku to ulubiona dzielnica tokijskiej młodzieży. Spotykają się tu Cosplay-zoku: dziewczyny w stylu Emo czy goth i lolitki w różowych podkolanówkach i mini spódniczkach.



dróżuje i niedługo wybiera się do Australii, oczywiście korzystając z CS.

Mieszkanie jest w stylu japońskim, czyli bez ogrzewania. Śpimy w czapkach, na japońskich futonach – materacach, pod stertą koców.

Następnego dnia jedziemy zobaczyć słynną Złotą Pagodę Kinkaku-Ji. Na stacji metra kiwają się lampy, czujemy, jak trzęsie się ziemia. Wcześniej podobnych sytuacji doświadczaliśmy w Tokio, więc wydaje się nam to normalne.

Dopiero wieczorem, u Masashi, dowiadujemy się o tym, co się stało. Wszystkie stacje telewizyjne nadają wiadomości o dzisiejszej tragedii – ofiarach trzęsienia ziemi i tsunami. My jesteśmy jednak cały czas uspakajani przez domowników, że tutaj nic



nam nie grozi. Wszystko ma miejsce daleko stąd, na północ od Tokio.

W LABIRYNCIE

Jedziemy do Osaki, trzeciego co do wielkości miasta Japonii. Mamy adres do Mutsuko, mimo to nie możemy do niego trafić. Ulice nie mają nazw ani numerów, tylko poszczególne kwartały miasta są znakowane ciągiem liczb. Po wielu próbach samodzielnego znalezienia domu kapitulujemy i prosimy o pomoc przechodnia. Wchodzimy z nim na kolejne klatki schodowe szukając naszego numeru. W końcu i on daje spokój. Idzie do siebie, żeby wydrukować mapkę z zaznaczonym

numerem domu. Po dwóch godzinach błądzenia okazuje się, że wystarczy tylko przejść jedną przecznicę i już jesteśmy pod właściwym numerem. Tak nam się przynajmniej wydaje. Pukamy – nikt nie otwiera. Zrezygnowani idziemy szukać budki telefonicznej. Dzwonimy do Mutsuko. Po chwili wychodzi po nas i okazuje się, że owszem numeracja się zgadza.. ale to jednak nie jest ten blok. Obok są identyczne numery.

W mieszkaniu panuje zima, ale nie tak sroga jak w Kioto. Spędzamy tu kolejne trzy dni i noc. Coraz więcej dowiadujemy się też o zniszczeniach spowodowanych przez Tsunami. O ofiarach nie wiemy jednak w dalszym ciągu nic. Wydaje się, że informacje te są tu dość reglamentowane.

WIECZORNY TŁUM

Skrzyżowanie w dzielnicy Tokio, Shibuya. Tak tłocznie bywa tu tylko po godzinach pracy.



FOT. PAWEŁ CHUDZICKI

WYSPA ŚWIĄTYŃ

Itsukushima, potocznie zwana Miyaima to wyspa na wewnętrznym Morzu Japońskim, na zachód od Hirozimy. Na samym brzegu morza stoi słynna świątynia shintoistyczna. Nad nią wznosi się pięciokondygnacyjna pagoda.

Świadomość rozmiarów rozgrywającej się tragedii zaczyna się budzić w nas tak naprawdę dopiero po kilku dniach, gdy przybывamy do małego miasteczka Yamaguchi. Nasz tutejszy gospodarz, Nate jest Amerykaninem, który pracuje na rocznym kontrakcie, uczy angielskiego w okolicznych szkołach. Od niego pierwszy raz słyszymy o awarii w elektrowni w Fukushimie i możliwym zagrożeniu skażeniem radioaktywnym w tamtych okolicach. Nate mówi, że kolejni Couch Surferzy rezygnują z przyjazdu do Japonii. Nadarza się nam pierwsza okazja kontaktu z Polską przez internet (nasze telefony komórkowe nie działają w Japonii). Na skrzynce e-mailowej czeka na nas mnóstwo wiadomości od zaniepokojonych znajomych.

Dowiadujemy się, że zostaliśmy wciągnięci na listę osób zaginionych, stworzoną przez polskie MSZ. Zastanawiamy się nad przerwaniem podróży i powrotem do domu. Jednak zapowiedzieliśmy się już u kolejnych gospodarzy. Jedziemy więc dalej.

RADIOAKTYWNE PIĘTNO?

W Hirozimie gościmy u Chie i jej narzeczonego. Nasi gospodarze ciągle nas zapewniają, że nie trzeba się przejmować. Ten region Japonii jest bezpieczny. Nazajutrz udajemy się do najbardziej rozpoznawalnego miejsca w mieście, Parku Pamięci i Pokoju. Stoi tu pomnik ku czci ofiar bomby atomowej i olbrzymie muzeum poświęcone



wydarzeniom z 1945 roku. Nieopodal straszy ruina – szkielet Genbaku Dome’u, jedyna pozostałość z tamtego czasu. Muzeum jest olbrzymie, nowoczesne, multimedialne i perfekcyjnie zorganizowane. Kilka godzin zwiedzania wywołuje w nas smutek, związany z historycznymi wydarzeniami, a spotęgowany tymi, które właśnie się dzieją na północy Japonii.

Podajemy decyzję o powrocie do Polski. Jak to zrobić? Próbowaliśmy dowiedzieć się za pośrednictwem miejscowego biura informacji turystycznej. Tu trafiamy na moment, kiedy dziennikarz radia francuskiego wypytuje personel, czy dużo ludzi boi się zagrożenia w związku z promieniowaniem i czy chcą się ewakuować z Japonii. Miejscowych wprawia to w zdziwienie.

PRZYMIARKA DO EWAKUACJI

Nie udaje się nam zdobyć informacji w sprawie przyspieszenia terminu wylotu, jesteśmy zatem zmuszeni do kontynuowania podróży.

Na wyspie Kiusiu, w Fukuoki, czeka na nas Justyna, Polka, która z mężem Brazylijczykiem mieszka tu już od kilku lat. Ich mieszkanie jest bardzo blisko plaży, więc pierwszy raz od przylotu spędzamy trochę czasu nad oceanem. Przez trzy dni zwiedzamy to ponad milionowe portowe miasto. Jednak informacje odnośnie skażenia wokół elektrowni w Fukushima brzmią groźnie. Dowiadujemy się, że niektóre państwa przysyłają samoloty, aby ewakuować swoich obywateli z Tokio. Na razie lotnisko jest jeszcze otwarte,

CZY NA PEWNO?

Napis na symbolicznym grobowcu ofiar w Hiroszynie głosi „Spoczywajcie w pokoju, gdyż błąd nie zostanie powtórzony”.



ZAMASKOWANI KLIENCI
Tokijska dzielnica handlowa
Harajuku



ale jeśli strefa promieniowania rozszerzy się, komunikacja lotnicza zostanie zawieszona, wówczas nasza sytuacja bardzo się skomplikuje. Zwłaszcza, że Aeroflot, jak i wiele innych europejskich linii, nie lata z innych japońskich miast. Z pomocą Justyny, która płynnie mówi po japońsku, udaje nam się dodzwonić do biura Aeroflotu i przebudować nasze bilety na najbliższy możliwy termin.

ZUPEŁNIE INNE TOKIO

Następnego dnia wsiadamy w „pociąg – pocisk” Shinkansen i ponad tysiąc kilometrów przejeżdżamy w niecałe pięć godzin. W Tokio widzimy zmiany w stosunku do czasu sprzed trzęsienia ziemi. Nie działa wiele wind i ruchomych schodów. Pozamykanych jest mnóstwo lokali. I nie ma już takich tłumów.

Umówieni jesteśmy z Kenjim, że znowu u niego przenocujemy. Nasz pierwszy japoński host pracuje w firmie, z której wielu inżynierów zostało oddelegowanych w rejon zagrożenia, ale on jako informatyk pracuje na miejscu.

Nazajutrz jedziemy prosto na lotnisko, gdzie nie widać już koczujących tłumów, które poprzedniego dnia oglądaliśmy w relacjach europejskich mediów.

ŚLAD Z FUKUSHIMY

Po całym dniu lotu z przesiadką w Moskwie w końcu oddychamy z ulgą w Polsce.

Następnego dnia rano słyszymy w radiu, że właśnie podniesiono stopień zagrożenia w Fukushima, a rząd zakazał spożywania w Tokio wody i używania jej do kąpieli niemowląt. Dostajemy lekkiej histerii, bo będąc tam kąpał się Matyldę i dawaliśmy jej herbatkę na tokijskiej wodzie. Spanikowani dzwonimy do Centrum ds. Zdarzeń Radiacyjnych Państwowej Agencji Atomistyki. Dostajemy kontakt do instytutu w Katowicach, w którym możemy przebadać Matyldę. Wykryte izotopy radioaktywne są w tak małych dawkach, że w najmniejszym stopniu nie wpłyną na zdrowie dziecka. ○

NIWZRUSZONE TOKIO

Ciągłe zagrożenie trzęsieniami ziemi na stałe wpisane jest w życie stolicy.



Jak brzmi najtrudniejsze pytanie dotyczące podróży?
Oczywiście o to, gdzie najlepiej karmią.

W GÓRACH SMAKUJE LEPIEJ

Bo co powiedzieć? Że wszędzie? Albo też – wersja oboczna – że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej? Truizm, ale jak wszystkie truizmy, najprawdziwszy głosi, że nie ważne co się je, ale w jakich okolicznościach. I to nawet nie zależy od głodu. Po kilku tygodniach włączęgi po Ugandzie, gdzie skądinąd nie cierpiałem na brak jedzenia, wpadłem do bardzo popularnego baru w centrum Kampali. Hamburger, proszę państwa, zwyczajny hamburger z frytkami był mi niebiańskim przysmakiem. Po prostu miałem już po dziurki w nosie mamałygi.

A właśnie, mamałyga. Czy ktoś jeszcze w Polsce wie co to jest? Jadłem to po raz pierwszy w Rumunii i zrobiło na mnie zerowe wrażenie, ale nie mogłem wtedy przypuszczać, że to najpopularniejsza potrawa całej Afryki. Nazw ma mnóstwo, ja zapamiętałem tylko nshimę z Zambii, ale wszędzie wygląda tak samo: lekko żółtawa kasza z mąki kukurydzianej, o konsystencji kaszy manny na gęsto. Je się to rękoma, ugniatając w kulkę i traktując jak Rosjanie chleb, czyli jednocześnie jako posiłek i jako sztuciec.

I tu anegdota: na początku lat 90. spotkałem w południowej Syberii dżentelmenta narzekającego, że nie poszedł mu handel w Polsce. Przywiózł do nas złote zestawy sztućców a warszawianie nie chcieli tego kupić. Za drogie? Nie, po prostu rosyjski zestaw pozbawiony był ...noży. Skoro wszystko można nałożyć chlebem, to po co nóż? Logiczne. No i z mamałygą w Afryce jest identycznie. Nakłada się nią sos, nieliczne, och, jak nieliczne kawałki mięsa i mnóstwo, ugotowanej oczywi-

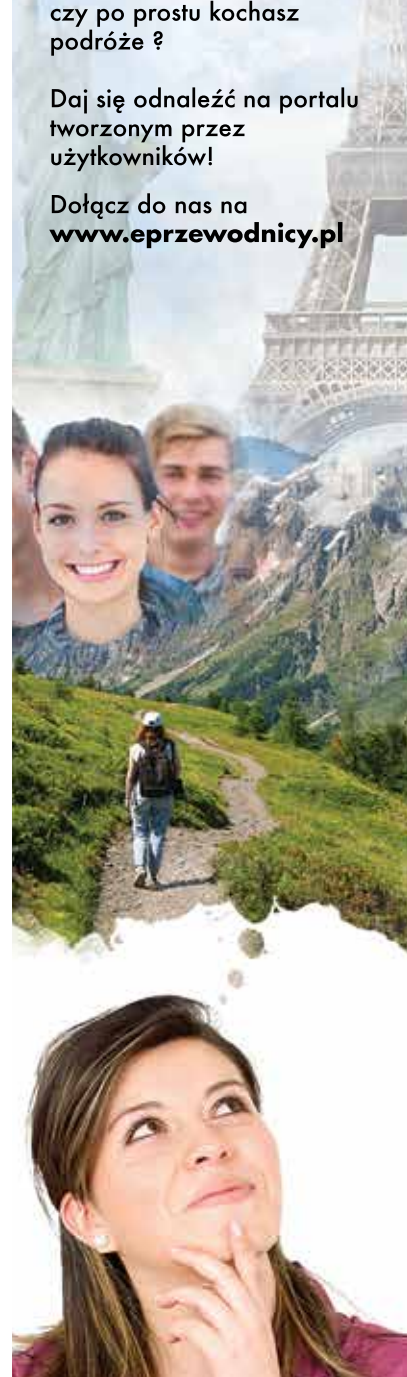


Daj się odnaleźć

Jesteś przewodnikiem, pilotem wycieczek, doświadczonym instruktorem, ratownikiem czy po prostu kochasz podróże ?

Daj się odnaleźć na portalu stworzonym przez użytkowników!

Dołącz do nas na www.eprzewodnicy.pl



Reklama

ście, trawy robiącej za sałatkę, warzywa i wszystkie przystawki świata.

Z oczywistych powodów kuchnia afrykańska jest uboga i w zasadzie nie dorobiła się niczego szczególnego. Może wyjątkiem byłaby tu kuchnia kolonialna, ale niepodległe państwa Czarnego Lądu od tego dziedzictwa uciekają, a białe restauracje są tak drogie, że zawsze szkoda mi było na nie pieniędzy.

Zupełnie inaczej jest w Azji, gdzie jedzenia jest mnóstwa i jest ono w dodatku nieprawdopodobnie tanie. Jeden tylko detal, trzeba nauczyć się spożywać je pałeczkami. Tak, wiem, teraz to każdy głupi umie, ale proszę mi wierzyć, że nie trzeba walczyć za młodu w Powstaniu Styczniowym, by pamiętać Warszawę bez knajpek sushi i wietnamskich barów. Więc niby gdzie pobierać nauki?! Ja pobierałem je rzucony na głęboką wodę w południowych Chinach, co wspominam dość traumatycznie. Gdyby nie pączki i hamburgery umarłbym z niedożywienia.

Ale jak już człowiek jako tako opanuje operowanie tymi drewniakami, to świat azjatyckiej kuchni staje otworem. Najlepsze w świecie żabie udka w wietnamskim Dalacie, albo znakomite jadłodajnie w Sajgonie, rozkładające się na maleńkich stoliczkach i taboretach wprost na ulicy, wieczorami, gdy nałowiono już całe gigantyczne kosze przeróżnych małży i ślimaków... Wszystko to przyrządzane najprościej jak się da, na oczach klientów, w większości tubylców – turyści wszak wolą miejsca z angielskim menu.

Już wkrótce zresztą, w miarę postępów globalizacji, mogą mieć tylko takie. Z nader znajomym menu. Pamiętam swój szok i niedowierzanie, gdy okazało się, że najpopularniejsze dania w Iranie to hamburger i pizza. Potomkowie dumnych Persów, wierni uczniowie fundamentalistycznych ajatollahów wsuwają, aż im się uszy trzęsą, irańskie wariacje na temat zdobyczy imperialistycznej kuchni: przetłuszczone frytki, paskudnawe hamburgery czy pizzę przypominającą raczej swojskie zapiekanki z polskich dworców z lat 80. Wszystko oczywiście popijane pepsi. Zdaje się skadinać, że skoro coca cola uchodzi za symbol Ameryki, to właśnie dlatego w najbardziej antyamerkańskich krajach świata, jak Irak za Sadama, królowało zawsze pepsi. Nieliczni mieszkający tam po pierwszej wojnie w zatoce cudzoziemcy przekręcili nawet nazwę charytatywnego programu ONZ „Oil for food” na „Oil for pepsi”.

Ale nie ma się z czego cieszyć. Kiedy już wszystko zostanie zestandaryzowane i ujednolicone, a niepodzielnie królować będzie buła

z kotлетem, to znikną kulinarne zaskoczenia. A te przyjść mogą na człowieka w najmniej oczekiwanym momencie. Bodaj równo 20 lat temu, w czasach bolesnego konania komunizmu i równie trudnych narodzin kapitalizmu, zwiędziałem Ermitaż. Wymęczony i wygłodniały próbowałem około 16.00 znaleźć w Petersburgu jakąkolwiek restaurację serwującą jeszcze obiady (bo normalnie podawano je do 15.00). W końcu się udało. Obok siedziało dwóch śniadych džentelmenów. Na widok swych niewielkich porcji dali upust swojej wściekłości. „Mięsa powinno być tyle, że ci będzie tłuszcz po brodzie i brzuchu ściekał!” – przekonywali i zapraszali do Kirgizji.

Dwa lata później wysiadłem z pociągu w niewielkim kirgiskim Osz. Tak, świat jest mały. Jeszcze na dworcu spotkałem jednego z owych džentelmenów. Ja bym go oczywiście nie poznał, ale on mnie nie przeoczył, w końcu byliśmy przyjaciółmi. Jakikolwiek opór był bezcelowy. Po chwili siedziałem już w samochodzie, jechaliśmy na wieś, w góry. Wróciłem stamtąd po tygodniu. Przez cały ten czas wyłącznie jadłem i piłem, trafiłem też na kirgiskie wesele. Ot, takie normalne: trzy dni, tysiąc osób, czyli całe kolchozowe sioło. Pieczono barany i cielęta. To właśnie tam, na oczach całej wsi z wielkiego kotła gotującej się na ognisku strawy wyciągnięto dla mnie specjał – jagnięce oczy. Owszem, zjadłem je, ale na szczęście nie wiem jak smakują – połknąłem w całości tak szybko, jak tylko się dało.

W Kirgizji bywałem też i potem, na szczęście ani na baranie oczy, ani na jądra już mnie nie namawiano, za to nad Issyk Kułem w mariniutkim barze podawano tamtejsze specjały. I czy były one tak smaczne, czy też kontrast z górkimi doświadczeniami tak wielki, dość, że mi smakowały wybornie.

W ogóle w górach wszystko lepiej smakuje. Doświadczyłem tego w połowie lat 80. w całkiem polskich Beskidach i Bieszczadach. Były to czasy kartek na mięso (i księcia pana – odpowiedzą sobie w duchu co młodszy czytelnicy), więc na szlak brało się ze sobą liczne puszki. Z mieloną, ewentualnie, jak kto miał fantazję, z pasztetem lub paprykarzem szczecińskim. Wszystko to oczywiście frykasy, ale po trzech tygodniach takiego menu, gdy na śniadanie, obiad i kolację można sobie było wyłącznie zonglować konserwami, odpadali najtwardsi.

I wtedy doszliśmy do Zakopanego, gdzie na Krupówkach sprzedawano pizzę. Moją pierwszą w życiu. Smaku nie pamiętam, ale to uczucie absolutnego luksusu... Ech, to se nevrati. ○



Ostańce próśb

Międzynarodowy projekt Ocalić Narodową Spuściznę jest poświęcony kaszubskim kapliczkom, norweskim kościołom stavekirke i islandzkim kościołom farmerskim. W projekcie uczestniczą dwie strony, dwa kręgi kulturowe, które – choć o odmiennej obyczajowości – mają jed-

nak wspólny mianownik. Jest nim ludowa architektura sakralna. Krąg nordycki to norweskie kościoły stavekirke i islandzkie kościółki farmerskie, słowiański zaś tworzą polskie kapliczki przydrożne. Obiekty te budowano na krańcach wsi i miasteczek, na granicach pól i lasów. Oddzielały znane od nieznanego. Wznoszone były zawsze z intencją: wyrażały prośby o oddalenie klęsk żywiołowych, stanowiły dowód dziękczy-

nienia za otrzymane łaski, stawiano je też na pamiątkę ważnych uroczystości rodzinnych...

Projekt ma na celu udokumentowanie tych obiektów, poznanie ich genezy, zebranie w całość wszystkich okruców pamięci, tak by powstała opowieść o głębokiej potrzebie twórczego dziękczynienia. Śladami projektu będzie mógł ruszyć każdy, dzięki dostępnej w internecie mapie, na bieżąco aktualizowanej o nowe informacje i obiekty. Dokładnie określone współrzędne geograficzne wszystkich obiektów pozwolą odnaleźć nawet najbardziej ukrytą pod lasem kapliczkę.

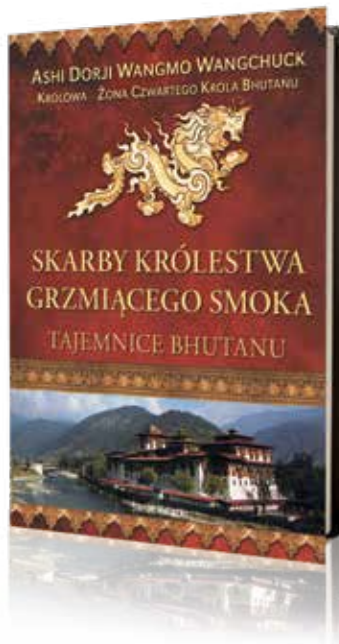
Finałowa wystawa ukazująca to, co stare, w nowy sposób – za pomocą fotografii i filmu, zostanie zaprezentowana w przestrzeni XIV-wiecznego kościoła św. Jana w Gdańsku 17 lipca 2011r.

Zwieńczeniem projektu będzie album autorstwa polskich, norweskich i islandzkich artystów. Organizatorem projektu jest Muzeum Narodowe w Gdańsku



www.ostanceprosb.pl
www.facebook.com/ostanceprosb
www.youtube.com/ostanceprosb

Skarby królowej Bhutanu



Królowa Ashi Dorji Wangmo Wangchuck, żona czwartego Króla Bhutanu złożyła kilkudniową wizytę w Polsce, inaugurując przy tej okazji działalność Towarzystwa Przyjaźni Polsko – Bhutańskiej. Wizyta zbiegła się w czasie z opublikowaniem w Polsce autobiograficznej książki Jej Wysokości: „Skarby Królestwa Grzmiącego Smoka”. Ten osobisty pamiętnik jest zapisem fascynującej podróży po kraju na zboczach Himalajów, dziennikiem wędrowki przez unikalną kulturę, historię i tradycję. Jest też opisem przemian, jakie dokonały się tam w ostatnim czasie.

Dorji Wangmo Wangchuck jest założycielką Fundacji Tarayana, poprzez którą zainicjowanych zostało wiele projektów społecznych związanych z bhutańską wsią. Fundacja działa w 40 najodleglejszych, trudno dostępnych wioskach kraju.



Skok do sąsiada

Szwecja – kraj słynący z nieskażonej przyrody, zapierających dech w piersiach widoków i oryginalnych zabytków. Stena Line proponuje i zachęca do złapania oddechu lub przeżycia rozrywkowego weekendu podczas rejsu „Szwecja w jeden dzień”. Rejs łączy zwiedzanie z morską przygodą (już od 199 zł za osobę). To dwie noce spędzone na nowym statku Stena Vision lub Stena Spirit oraz cały dzień wrażeń turystycznych w Szwecji. Podczas rejsu czeka moc atrakcji – od muzyki na żywo i dyskoteki po możliwość odprężenia w pokładowym Pure Nordic SPA (z widokiem na pełne morze), z saunami, kąpielami i zabiegami kosmetycznymi. Koniecznie trzeba wyjść na otwarty pokład słoneczny, gdy prom dopływa do Karlskrony. Z wysokości statku roztacza się zjawiskowy krajobraz tysięcy szkiegowych wysp oraz zabytkowego centrum miasta. Niezwykle malowniczą Karlskronę można poznać na własną rękę albo wziąć udział w autokarowej wycieczce z przewodnikiem, zorganizowanej przez Stena Line (ceny już od 60 zł).



Turystom, którym będzie jeszcze mało, Stena Line oferuje także wycieczki z całodziennym programem zwiedzania: „Karlskrona i zabytki UNESCO”, „Kalmar i Olandia”, „Łosie i Kraina Szkła”. Więcej propozycji na stronie www.steneline.pl

WARSZAWA

by night

Pałacu Kultury i Nauki nie trzeba przedstawiać – to najbardziej rozpoznawalny budynek w Polsce. Nie tylko mieszkańcy Warszawy bywają tu często. W Pałacu ma swoją siedzibę ponad trzy tysiące instytucji. Kilka pokoleń Polaków zna Salę Kongresową, gdzie odbywają się zjazdy, konferencje, kongresy, a przede wszystkim koncerty i gale. W Pałacu działa kilka teatrów, instytuty naukowe, muzea, biblioteka.

Dla turystów zwiedzających stolicę ten wciąż najwyższy budynek w kraju stanowi często punkt orientacyjny. Dla wszystkich – przyjezdnych i mieszkańców – jedną z największych atrakcji budynku jest panorama Warszawy, oglądana z wysokości XXX piętra. Latem przedłużone zostały godziny korzystania z tarasu widokowego, tak więc teraz, migającą światłami stolicę można podziwiać także nocą. Warto o tym pamiętać przyjeżdżając do lub przejeżdżając przez Warszawę w czasie wakacji.

Taras Widokowy – czynny codziennie.

Od 1 czerwca do 31 sierpnia, w godz. 9.00 – 20.00, a w piątki i soboty do 23.30.

Polak opłynie świat



Kapitan Tomasz Cichocki jest doświadczonym żeglarzem. Do tej pory przepłynął dwukrotnie w jednym sezonie Ocean Atlantycki, kilkakrotnie Morze Bałtyckie i Śródziemne. Teraz chce samotnie opłynąć ziemię trasą na wschód, bez zatrzymywania się. Wystartuje z Brestu (Francja), następnie Oceanem Atlantyckim przedostanie się na półkulę południową i przy Przylądku Dobrej Nadziei wpłynie na Ocean Indyjski. Kolejnym ważnym punktem na trasie kapitana będzie Przylądek Leeuwin, najbardziej wysunięta na południowy zachód część kontynentu australijskiego. Otworzy się tam przed nim największy i jeden z najmniejbezpiecznych akwenów znanych ludzkości – Ocean Spokojny. Do przylądka Horn kapitan Cichocki dopłynie zapewne po kilku miesiącach, ale po jego pokonaniu będzie to oznaczało, że najgorsze za nim. Tam wróci po wielu miesiącach na Ocean Atlantycki i wybierze kurs na port startu – Brest. Kapitan Cichocki popłynie na jachcie Delpia 40.3 o nazwie „Polska Miedź”.



Targi Kielce

EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

„Kielce Sport – Lato” to największe w Polsce targi związane z branżą sportową i outdoorową. Odbędą się one w Kielcach od 4 do 6 sierpnia. W tym czasie zaprezentowane zostaną produkty najlepszych marek, a także najnowocześniejszy sprzęt i najmodniejsza odzież sportowa – będą to propozycje na lato 2012. Na ubiegłorocznych targach w Kielcach swoją ofertę przedstawiło 150 firm z 8 państw: Austrii, Anglii, Niemiec, Tajwanu, Czech, Hiszpanii, Chorwacji i Polski. Na stoiskach można było podziwiać najmodniejsze ubrania sportowe, sprzęt do uprawiania gier zespołowych i dyscyplin indywidualnych. Organizowane po raz dwudziesty czwarty Międzynarodowe Targi Branży Sportowej i Outdoorowej adresowane są do producentów, dystrybutorów, właścicieli sklepów oraz do miłośników aktywnego wypoczynku.

Dla tańca i dla Kamila

Na przełomie 2011 i 12 roku rozpocznie się wyprawa Magdaleny i Marcina Musiałów do Ameryki Centralnej. Podróż połączona jest z akcją charytatywną na rzecz Kamila Misztala, pochodzącego z Lublina podopiecznego Fundacji Jasia Meli „Poza Horyzonty”. Kamil Misztal w dzieciństwie uległ poparzeniu, w wyniku którego amputowano mu nogę. Teraz zbiera pieniądze na protezę. Planowana Trasa Wyprawy to Wenezuela – Dominikana – Kuba – Panama (z wyspami San Blas). Celem przedsięwzięcia będzie poszukiwanie tajemnic Tańca, Piratów z Karaibów i Wyspy Skarbów.
www.magdaimarcin.pl

Wokół Bałtyku

25 lipca rusza wyprawa Studenckiego Koła Naukowego Geografów Uniwersytetu Gdańskiego „Rowerowa wstęga Bałtyku”. Trasa wiedzie wzdłuż całego wybrzeża Morza Bałtyckiego z Gdańska przez kraje nadbałtyckie (Obwód Kaliningradzki, Litwę, Łotwę, Estonię, Rosję, Finlandię, Szwecję, Danię, Niemcy) do Gdańska. Celem wyprawy jest przeprowadzenie badań terenowych niezbędnych do zrealizowania tematu pracy magisterskiej i zebranie materiału dokumentującego możliwości przemieszczania się na rowerze po trasach nadmorskich we wszystkich krajach nadbałtyckich oraz aktywnego i kreatywnego spędzania czasu.

SIÓDMA NA EVEREŚCIE



Jako siódma Polka na szczycie Mount Everestu stanęła, 12 maja br., Małgorzata Wątroba, mieszkanka australijskiego Perth. Było to jej drugie podejście. Rok temu do zdobycia szczytu brakowało Polce zaledwie pięćdziesięciu metrów, kiedy zła pogoda zmusiła ją do odwrotu. W tym roku pogoda także nie sprzyjała himalaistom. Gdy Polka, wspinająca się w grupie prowadzonej przez angielskiego przewodnika Phila Cramptona, ruszyła do ataku szczytowego, na stokach góry szalał wiatr i burza śnieżna a temperatura spadła poniżej minus czterdziestu stopni C. Dalsza wspinaczka groziła wypadkiem. Po dojściu do Południowego Wierchołka Crampton zarządził odwrót grupy.

Z powodu awarii oblodzonego radiotelefonu wiadomość nie dotarła do Małgorzaty, która wraz z Szerpą Chhedarem była daleko z przodu. Po pokonaniu ostatniej przeszkody – Hillary Step – szczyt wydawał się być na wyciągnięcie ręki. – *Szłam jak w amoku, już czułam zapach wierchołka. Potrzebowałam jeszcze półtorej godziny, żeby dojść do niego. Była 8.15.* – mówi himalaistka. Powrót do bazy najeżony był trudnościami z powodu złej, zaledwie kilkumetrowej widoczności.

Everest jest drugim ośmiotysięcznikiem pani Małgorzaty, która wcześniej zdobyła Manaslu (8163 m n.p.m.). Ponadto stanęła na najwyższych szczytach: Ameryki Południowej – Aconcagua i Afryki – Kilimandżaro. Małgorzata Wątroba ma 61 lat, pochodzi z Sosnowca, jest absolwentką krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. W Australii mieszka od ponad trzydziestu lat, obecnie w Perth. Pracuje jako inżynier-elektryk w największej australijskiej firmie wydobywczej BHP Billiton, zajmującej się pozyskiwaniem rud żelaza, miedzi, złota, diamentów i ropy naftowej. Z jej sukcesu cieszy się rodzina – mąż Tadeusz (także związany z australijskim górnictwem) córki i troje wnucząt.

Wędrownica bieguna

W rekordowym tempie przemieszcza się biegun magnetyczny półkuli północnej, czyli punkt, w którym linie pola magnetycznego Ziemi tworzą z jej powierzchnią kąt prosty. Skalę zjawiska pokazuje zestawienie: w 1904 roku biegun zmierzał w kierunku północno-wschodnim 9 mil rocznie. Teraz kieruje się ku Syberii w rocznym tempie ponad 37 mil. Konsekwencją tego zjawiska będą istotne problemy dla komunikacji – lotniczej i morskiej, której nawigacja bazuje na odczytach nowoczesnych kompasów. Na zjawisko zwraca uwagę brytyjski dziennik „The Independent”.

Zmienia się też położenie bieguna północnego (o jeden stopień w ciągu pięciu lat) usytuowanego w pobliżu tego magnetycznego. To już teraz wymusza potrzebę aktualizacji parametrów korytarzy lotniczych.



Akwedukt z rekordem

Najdłuższy akwedukt świata ma długość 137 kilometrów, przekrój 4,1 metra i dostarcza wodę do Nowego Jorku. Akwedukt Delaware czerpie wodę ze zbiornika wodnego Rondout i przechodzi przez zbiorniki West Branch i Kensico. Dziennie transportuje 5 mld litrów wody. O dwanaście kilometrów krótszy jest podziemny kanał, którym z jezior Lahti dopływa woda pitna do Helsinek.

Pisk opon zgrzyt hamulców



Adrenalina, prędkość, piękne krajobrazy, kurz i ryk silników – oferta Akademii Nikona poszerzyła się o najbardziej dynamiczne warsztaty: z fotografii rajdowej.

Pierwsze zajęcia z Dominikiem Kalamusem – autorem spektakularnych zdjęć „Magazynu Rajdowego WRC” – odbędą się między 1 a 4 września podczas Rajdu Dolnośląskiego. Pod okiem prowadzącego uczestnicy zgłębią tajniki technik fotograficznych stosowanych

do uzyskania konkretnego efektu np. zamrożenia ruchu pędzącego auta oraz przekonają się, jak wiele emocji może przekazać zdjęcie samochodu. Podczas trzydniowych warsztatów zaplanowano krótką część teoretyczną a także dużo praktyki – w obiektywach zostaną uwiecznione m.in. wydarzenia odcinka testowego rajdu oraz wieczorny super OS. Ponadto atrakcyjne położenie asfaltowych tras w okolicach Kotliny Kłodzkiej gwarantuje wiele wrażeń i ciekawych ujęć.



Na naszej stronie
www.poznaj-swiat.pl
znajdziesz:

- łatwy dostęp do PRENUMERATY
- aktualności i konkursy
- coraz bogatsze archiwum
- za miesiąc elitarny Klub Sześciu Kontynentów

szukaj nas także na
Facebooku!

www.poznaj-swiat.pl



PRACUJĄCE MAMY

Kobiety gotują posiłki i wyrabiają pamiątki. Maluchy bawią się przy nich. Obecność dzieci jest naturalna i zupełnie nieabsorbująca.





Anna Olej-Kobus

Dzień z BUSZMENAMI

**MODLITWA PRZEZ TANIEC**

W ten sposób buszmeni zabiegali o zdrowie, deszcz i obfite łowy.

FOT. ANNA OLEJ-KOBIJS / PRZYSZTOF KOBIJS

Jadąc do Namibii wiedzieliśmy, że nie mamy szansy na zobaczenie dzikich plemion Buszmenów. Po prostu takie już nie istnieją. Dziś stopień autentyczności wiosek w dużej mierze zależy od tego, czy na potrzeby turystów schowane są plastiki i zachodnie ubrania. Chociaż... przygotowując się do wyprawy do Namibii trafiałam w sieci na zdjęcia Buszmenów w tradycyjnych strojach – myśliwych czających się z łukiem na zwierzynę, półnagie kobiety tańczące wokół ogniska.



– *Farciarze* – myślałam o autorach fotografii.
– *Ciekawe ile tygodni czekali, by zrobić to zdjęcie...*
Jeszcze nie wiem, że zrobienie takich zdjęć jest banalnie proste, trzeba tylko wykupić odpowiedni pakiet zwiedzania wioski.

LUD SAN

Buszmeni są uważani za jedną z najstarszych ras ludzkości i jednocześnie najstarszą ludność Afryki Południowej typu negroidalnego. Od innych ple-



FOT. ANNA OLE-JOBEIS / ARKASZ OF JOBEIS

mion odróżnia ich niewysoki wzrost (przeciętnie 130 cm u kobiet i 140 cm u mężczyzn) i brunatno-żółty kolor skóry. Sami siebie nazywają ludem San. Od wieków byli spychani przez inne plemiona w coraz bardziej pustynne tereny Namibii, Botswany i RPA. Ostatni akt dramatu rozgrywa się współcześnie. Gdzie wędrować, gdzie polować, gdy dziesiątki tysięcy kilometrów ziem ogradzają płoty farm? Jak być dumnym łowcą, gdy zwierzęta zamknięto w parkach narodowych lub na prywatnych terenach? Niegdyś dzieci ludu San znały nazwę i zastosowanie 200 roślin, lecz czego uczyć je dziś, gdy cała dotychczasowa wiedza okazuje się nieprzydatna w kontakcie z cywilizacją?

CZTERY MLASKI

Jedziemy przez Kalahari, która tutaj pustynią jest tylko z nazwy. Na mialkim piasku rośnie typowy busz: krzaki i krzaczki, niekiedy ocieniane przez palmy i niewielkie drzewa. Wzdłuż drogi, przez cały czas towarzyszą nam ogrodzenia farm. Wreszcie, na rozstaju dróg widzimy tabliczkę: camping w prawo, do wioski prosto. Camping to polana pod wielkim drzewem i tablica z informacją, że trafiliśmy do wioski Ju/'Hoansi-San. Nic więcej tu nie

ma, trzeba zatem jechać do wioski. Z daleka widzimy to, czego tak bardzo nie chcemy widzieć: sklecone byle jak chaty, brudne, podarte ubrania, cywilizacja zawłaszczająca miejscową kulturę. Tabliczka przed wioską prosi, by poczekać na przewodnika. Otaczają nas miejscowe dzieci. Coś mówią do siebie, a my wsłuchujemy się w ich język. Mowa ludu San opiera się na czterech podstawowych mlaskach, stąd w angielskich zapisach tutejszych imion czy nazw pojawiają się apostrofy, wykrzykniki i ukośniki.

Zjawia się przemiły młody człowiek, Ghaun!aici (w miejscu wykrzyknika należy wydać młasknięcie języka o podniebienie), który po angielsku pyta nas na jaki program mamy ochotę. Program? Okazuje się, że w wiosce można zamówić różne warianty spotkania: tańce i gry, pokazy myśliwskie, spacer po buszu – do wyboru, do koloru. Decydujemy się na najdroższy wariant: spend a day with us – spędź z nami dzień. Całe 200 N\$ (namibijskich dolarów) czyli jakieś 20 USD od osoby. Do tego jeszcze dokupujemy bushwalk czyli odkrywanie tajemnic buszu następnego dnia o świcie (60 N\$ od osoby). Pojawia się młodzieniec z kalkulatorem, skrupulatnie wylicza ile musimy zapłacić, i wreszcie... wypisuje nam po angielsku rachunek!

ŁUKI NIE DLA OZDOBY
Myśliwi bezbłędnie trafiają do celu nawet z odległości trzydziestu metrów. Są też mistrzami bezszelestnego poruszania się.



FOT. ANNA OLEJ-KOBIUS / KRZYSZTOF KOBIUS

METKA MUSI BYĆ

Choć jeszcze bez kodu kreskowego, ale z ceną i nazwiskiem twórcy.

ŻYCIE CODZIENNE VS. „AUTENTYCZNE”

– *Wróćcie na kemping i zaraz tam do was przyjdziemy* – słyszymy.

– *Zaraz, jak to „wróćcie” – przecież tam nikogo nie ma, a wioska jest tu, o co chodzi? Chcemy pobyc z wami!* Konsternacja. – *No przecież wykupiliście pakiet pokazu tańców, zabaw, rozpalania ognia. – A tu nie tańczycie?*

W końcu dokupujemy jeszcze pakiet zwiedzania współczesnej wioski (N\$40).

Oglądamy kobiety, które przy ognisku gotują posiłek, mężczyźni rąbiących drewno prymitywnymi siekierkami. Dzieciaki bawią się zrobioną z puszek i drutu terenówką, która budzi bezbrzeżny zachwyty naszych synków. Tym bardziej, że przemysłna konstrukcja z drucików pozwala nią sterować i skręcać! Chodzimy między chatami, robimy zdjęcia i nagle zamieram z wrażenia: oto ko-

bieta stojąca przed blaszakiem zakłada strój ze skóry! Prawdziwy, najprawdziwszy, buszmeński! Ghau N!aici kiwa ręką, byśmy przeszli na kemping, gdzie już czekają na nas półnagie kobiety, rozwieszające biżuterię w sklepiku z żerdzi. Nareszcie upragniony „autentyzm”! Ich towary to czysta ekologia: nasiona roślin, skorupy strusich jaj, patyki. Kupujemy ochoczo kolejne przedmioty, nasze dzieci koniecznie chcą łuki, które widzą u przewodników. Tych akurat nie ma, ale może mogliby je dla nas zrobić?

No problem, jutro rano będą.

Dlaczego jutro? – myślę, przecież by połączyć patyki i kawałek sznurka wystarczy chwila. Nie wystarczy, ale o tym przekonam się następnego dnia.

Na polanie już zebrało się kilkanaście osób. Dwóch mężczyzn rozpala ogień w tradycyjny sposób, przy pomocy drewniek. Nasi synkowie dostają amoku, wkładają w ognisko patyki, cieszą się nieprawdopodobnie. Choć zapada noc, nie muszą iść spać i mogą pobyc z nami przy ognisku

Płonie ognisko w buszu.

Tymczasem impreza się rozkręca. Kobiety stają półkolem, klaszczą w dłonie, coś wołają do siebie. Na ich plecach kołyszą się uspięne maluchy. Iskry lecą w niebo, Ghau N!aici, ubrany jak one w kawałek skóry, wyjaśnia nam sens kolejnych tańców: takim leczono ludzi, takim modlono się o zwierzęta... Tańczą pełni radości, nie zwracając uwagi na aparaty fotograficzne. Mamy wrażenie, że to jedna z tych niewielu chwil, gdy mogą w pełni być dumni ze swej tradycji. Kiedy pod gwiazdzistym niebem i osłoną buszu są w pełni sobą, tacy jakimi byli ich przodkowie. Chcemy podzielić się z nimi naszą

WIARA LUDU SAN

Kiedyś buszmeni poprzez taniec czcili Słońce, Księżyc, gwiazdy oraz stwórcy ludzi i przyrody – boga Huwe. Do dziś na pewno pozostał taniec.



FOT. ANNA OLEJ-KOBIUS / KRZYSZTOF KOBIUS

radością z tego spotkania i postanawiamy zaśpiewać coś dla nich. Ten pomysł budzi ich szczerą entuzjazm. Teraz buszmeni siedzą przy ognisku, a my intonujemy piosenki masowego rażenia zaczynając od klasycznego Hej sokoły. Długie, przeciągane frazy brzmią dla nich nader ciekawie, może nawet nasz śpiew jest dla nich bardziej egzotyczny niż dla nas ich mlaski.

Obok nasi chłopcy kopią dołki. Kalahari, mimo że tu porośnięta krzewami, ma cudownie syple piasek.

Tata, skorpion! – nagle woła przejęty Michaś. Od początku wyprawy szkolimy dzieciaki jak mają się zachować, gdy zobaczą węży czy skorpiona. Dla tutejszych dzieci to naturalna część edukacji. Nasze powinny wiedzieć co mają robić. I oto teraz doskonale zdały egzamin! Krzys bierze odwłok skorpiona patyczkami niczym szczypcami i wynosi daleko poza nasz obóz. Tam rozgniatą go butem. Po pół godzinie przypelza następny. Zarządzam ewakuację.

APTEKA I SUPERMARKET

O szóstej rano pobudka! Na szczęście nie dla wszystkich – ja z dziećmi zostaję w namiocie (marne szanse, by chłopcy docenili atrakcyjność takiej wycieczki). Krzysztof i reszta idą poznawać tajniki buszu. Buszmen, którego między sobą nazywamy „myśliwym”, odkrywa przed nimi kolejne karty tajemnej księgi natury. Koncerny farmaceutyczne wydają majątek na tworzenie nowych leków, tymczasem na wiele pytań być może tu znaleźliby

ŻYWE MUZEUM

Pomysł Żywego Muzeum propagowany przez The Living Culture Foundation Namibia to jedna z możliwości uratowania ginących kultur. Kluczem do sukcesu jest zaangażowanie lokalnej społeczności. Odtwarza się wioski takie, w jakich mieszkali niegdyś pradziadkowie obecnych mieszkańców. Szyje się oryginalne stroje w oparciu o tradycyjne materiały (zabronione made in China); przypomina się dawne pieśni i obyczaje, sporządza cennik oraz robi szkolenie dotyczące postępowania z turystami. Czyli: nie prosić na boku o podkoszulki, dolara, długopis, nie zawyżać cen pamiątek (turysta woli zapłacić więcej i kupić towar z metką niż negocjować cenę), nie zapomnieć zdjąć zegarka/bejsbolówki/trampek gdy zakłada się tradycyjny strój. Rodziny prezentujące tradycje muszą się wymieniać (by każdy mógł zarobić). W ich skład winny wchodzić wszystkie grupy wiekowe: od niemowlaka do staruszka, tak by turysta mógł zobaczyć pełny obraz życia rodziny. Obowiązkowo musi być w wiosce przewodnik znający angielski, który także będzie brał udział w pokazach i który będzie objaśniał znaczenie oglądanych tańców i zwyczajów. Dzięki temu miejscowi ludzie mają pracę oraz coś znacznie cenniejszego: odzyskują poczucie godności i dumy ze swej kultury, zaś dla ich dzieci udział w tym projekcie jest okazją do poznawania własnej tradycji. Obecnie LCFN prowadzi cztery wioski kulturowe. Poza Ju/'Hoansi-San są to także Mafwe (na Caprivi Strip), Damara i Nharo. Kolejne dwie są w przygotowaniu.

odpowiedź: to dla żony po urodzeniu dziecka by nie było zakażenia, to na ból brzucha, to na udany seks, a tamto na pobudzenie i powstrzymanie pragnienia....

– *Witajcie w naszej aptece i supermarkecie* – zarzuca Myśliwy pokazując kolejne rośliny.

Przez wieki Buszmeni potrafili świetnie obywać



KAŻDA USŁUGA MA SWOJĄ CENĘ

Strzelanie z łuku,
taniec przy ognisku,
spacer po buszu
i patrzeć na
gwiazdy – za to
wszystko należy
się...



FOT. ANNA OLEJ-KOBUS / KRZYSZTOF KOBUS

WYSSANE Z PALCA

Buszmeni doskonale wiedzą, z której rośliny można wycisnąć zyciodajny płyn.

się bez wodociągu, magazynując wodę w zakopanych jajkach strusich lub odnajdując odpowiednie rośliny. Krzysiek patrzy na wystającą z ziemi niepozorną gałązkę. Każdy z nas umarłby koło niej z pragnienia, nie wiedząc iż wystarczy wykopać wielką bulwę, zestrugać z niej garść wiórków i mocno ścisnąć, aby wypłynął białawy sok o posmaku chrzanu. Krzysztof wraca z wycieczki pełen podziwu dla wiedzy tych ludzi. Jemy szybkie śniadanie i idziemy wszyscy na polanę, gdzie wczoraj były tańce.

Wokół ogniska siedzą kobiety, kręcą się dzieci, mężczyźni coś strugają siekierami. Dzień jak co dzień, tyle że dziś za pracę przy wytwarzaniu pa-

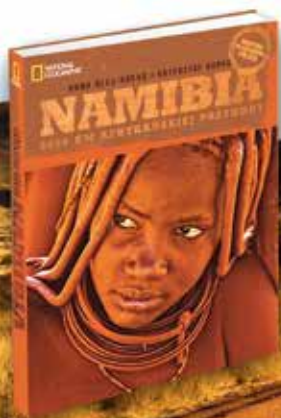
miątek mają dodatkową zapłatę. A łuki dla chłopaków? Jeszcze chwila cierpliwości: trzeba liście przeciągnąć między kamieniem a zaostrozonym kołkiem, by oddzielić miąższ od włókien. Roślinne skręcone nitki tworzą doskonałą cięciwę.

To dlatego nie mogli nam od razu wykonać łuków – musieli najpierw zrobić sznurki... Jeszcze trochę roślinnego kleju, by cięciwa nie spadała i gotowe!

Z RĘKI DO RĘKI

Nim wyjedziemy z wioski wymieniamy jeszcze ubrania na biżuterię. Planowaliśmy je rozdać, ale oni nie są żebrakami. Zupełnie nie wiem, jak ma wyglądać ta wymiana: mam wycenę zrobić, że podkoszulek to dwa naszyjniki, czy jak? Ale niepotrzebnie się martwię – Buszmeni doskonale wiedzą o co chodzi i co ważniejsze, chcą się nam odwdziżyć. Kobiety biorą ubranka (te dziecięce jako towar najrzadszy budzą najwięcej emocji) i wciskają mi w ręce bransoletki i naszyjniki. Po chwili torba jest pusta, a ja stoję z naręczem biżuterii w dłoni. I poczuciem, że my wciąż mamy tak wiele, że coś jeszcze powinniśmy im dać. Nie mamy skrupułów, że niszczymy ich kulturę i zmieniamy ich świat. Wyjmujemy butelki z wodą (plastikowa butelka tutaj bynajmniej nie jest jednorazowa!), cebulkę, jabłko, wreszcie podarunek dla całej wioski – wielkiego arbuza.

Za 200 km czyli za jakieś trzy godziny, będziemy w krainie obfitości. Oni pozostaną tu, z namacalnymi dowodami wartości swojej kultury. ○



Anna Olej-Kobus, Krzysztof Kobus autorzy książki „Namibia. 9000 km afrykańskiej przygody”, wydanej w czerwcu 2011. Autorzy są podróżnikami, fotografami i dziennikarzami, których łączy pasja poznawania i opisywania świata. Podróżują z dziećmi. Są autorami zdjęć do 25 albumów.

Pełna relacja z Namibii na www.malypodroznik.pl

FOT. ANNA OLEJ-KOBUS / KRZYSZTOF KOBUS

Zdobywaj szczyty z **McKINLEY**



Na krótkie wycieczki
Cougar W, 30 l
Cena: 249,99 zł



Turystyczny
Yukon, 55 l + 10 l
Cena: 359,99 zł



Alpinistyczny
Tilicho, 32 l + 8 l
Cena: 299,99 zł

- Szeroki wybór
- Najnowsze technologie
- Plecaki dla kobiet
- Wytrzymałe materiały

Produkty McKINLEY dostępne w sieci **INTERSPORT**

www.intersport.pl

McKINLEY.

NEXT DOOR TO NATURE

Turystyka przygraniczna

Wakacyjna przygoda nad wodą



Meklemburgia-Pomorze Przednie to kraina szczodrze obdarowana przez naturę. Tu znajdują się szerokie, piaszczyste plaże a wzrok przyciąga elegancka architektura nadmorskich kąpielisk. Jest to idealny region nie tylko dla miłośników kąpeli słonecznych i surfing, ale także dla żeglarzy, romantyków i kuracjuszy. Meklemburskie miasta i nadmorskie uzdrowiska zapraszają do odkrywania i podziwiania imponujących zabytków a obfitość wód i wspaniały krajobraz gwarantują doskonały wypoczynek.

DWIE SIOSTRY

Rugia jest największą wyspą Niemiec. Leży na Morzu Bałtyckim i właściwie jest archipelagiem składającym się z około 30 półwyspów i wysepek. Spacerując po cesarskich kąpieliskach, które teraz na nowo odzyskały swój blask, czuje się powiew elegancji z czasów belle époque. Wytworne miasta, skromne wioski rybackie, ciągnące się kilometrami plaże i stuletnie latarnie morskie sprawiają, że Rugia to wyjątkowe i oryginalne miejsce na wakacyjny wypoczynek. Wszystkie ważniejsze nadmorskie kąpieliska i wiele atrakcji turystycznych można zobaczyć korzystając z kolejki wąskotorowej „Ra-

sender Roland” („Szalony Roland”), która kursuje między miejscowościami. Światową sławę Rugia zdobyła dzięki malarzowi epoki romantyzmu Casparowi Davidowi Friedrichowi, który na swoich obrazach uwiecznił majestatyczne wybrzeża klifowe ze śnieżno-białej kredy, wyłaniające się z turkusowego morza. Połyskująca kreda skał nie tylko czyni krajobraz pięknym, ale wykazuje także działanie lecznicze i jest wykorzystywana w tutejszych uzdrowiskach. Najstynniejszą skałą jest mierzący 118 metrów wysokości Königstuhl na półwyspie Jasmund.

Warto także odwiedzić wyspę Uznam uznawaną za najbardziej słoneczny region w Niemczech. Dotarcie do tego zakątka Niemiec nie sprawia żadnych problemów. Połączenie ze stałego lądu przez niemiecką część wyspy i dalej przez granicę do Świnoujścia gwarantuje kolejka UBB a ponad 100 portów i przystani między Rugią, Uznam i Wolin zapewnia żeglarzom pełną dowolność w zmianie kursu. To także idealne miejsce dla surferów. Liczące do 70 metrów szerokości, białe, ciągnące się w nieskończoność plaże gwarantują wspaniały wypoczynek. Wzdłuż plaż ulokowały się słynne kąpieliska Zinnowitz, Bansin, Heringsdorf i Ahlbeck, wyglądające jak perły nanizane na sznurek.

Wytworne wille zachwycające swoim nowym blaskiem i „wybiegające” w morze molo to doskonała zachęta do spacerów w atmosferze dawnych „cesarskich uzdrowisk”. Najpiękniejsze zakątki wyspy warto odkrywać pieszo lub na rowerze. Doskonale oznakowana sieć szlaków rowerowych pozwala na poznanie różnorodności wyspy i bogactwa jej krajobrazu.

ZABYTKI Z CZERWONEJ CEGŁY

Europejski Szlak Gotyku Ceglanego biegnie wybrzeżem Bałtyku przez 7 państw, od Estonii do Danii i prowadzi śladami Hanzy, która zdominowała handel i życie w tym rejonie na przeszło trzysta lat. Okres rozkwitu i potęgi gospodarczej hanzeatyckich miast pozostawił po sobie wspaniałe świadectwa także na terenie Niemiec. Klasztory, ratusze, bramy miejskie, wały, kościoły i katedry to monumentalne budowle i symbole zarówno świeckiej jak i duchowej siły średniowiecza. Każde miasto zostało ukształtowane odrębnie, każda cegła ręcznie zrobiona i wmurowana, dlatego budowle, które przetrwały do dziś, fascynują turystów z całego świata. Podążając Szlakiem Gotyku Ceglanego warto zwiedzić Schwerin, stolicę Meklemburgii Pomorza Przedniego, gdzie można skorzy-



stać z wycieczki statkiem po jeziorze Schweriner See, Stralsund z urzekającą panoramą oraz Rostock, największe hanzeatyckie miasto nad Morzem Bałtyckim. Informacje na: www.eurob.org

AMAZONIA PÓŁNOCY

Między wybrzeżem Bałtyku a Pojezierzem Meklemburskim znajduje się Vorpommersche Flusslandschaft, rejon rzek i kanałów tworzących rozległą sieć dróg wodnych. Nie bez powodu obszar ten otrzymał w 2010 roku Europejską Nagrodę EDEN. Tu można uciec od stresu dnia codziennego i zanurzyć się w ciszy lasu, szum wody i w śpiew ptaków oraz poobserwować orły bieliki, zimorodki, wydry i bobry mieszkające tu od stuleci. Nieco bardziej aktywni turyści mogą skorzystać z łódek, kajaków, rowerów a także katamaranów na baterie słoneczne. Dostępne są też gotowe pakiety i programy turystyczne jak całodzienne safari, spływy kajakowe czy wakacje w siodle. Niebanalną ofertą turystyczną przyciąga również dolina rzeki Peene. 90-kilometrowej długości nurt wije się wśród krajobrazu, który powstał w epoce lodowcowej i do dziś nie poddał się wpływowi człowieka. Dzięki temu obecnych jest tu ponad 150 zagrożonych wyginieciem gatunków ptaków. Więcej informacji: www.abenteuer-flusslandschaft.de

CUD TECHNIKI PRZY GRANICY Z POLSKĄ

Człowiek już od stuleci wykorzystuje rzeki i naturalne ciekły wodne do transportu towa-

rów. Szlaki te były często nie tylko jedyną, możliwą formą transportu, ale pozwalały na przewożenie nawet bardzo ciężkich ładunków. Tak więc na przestrzeni wieków powstawały sztuczne zalewy, jeziora, kanały i drogi wodne łączące różne systemy rzeczne. Aby statek mógł łagodnie przepłynąć granicę między tymi systemami zaczęto budować śluzy. Jedną z takich dróg wodnych był kanał w Finow, który umożliwił żeglugę z Haweli na Odrę. Z biegiem czasu przepustowość 17 śluz okazała się zbyt mała. Pod koniec 19 wieku kanałem przepływało już 13 000 barek rocznie. W związku z tym cesarz Wilhelm II zarządził budowę kanału zwanego dziś kanałem Odra-Hawela, który łączy Berlin ze Szczecinem i pozwala na przepływ statków o znacznej nośności. Przeszkodą w budowie okazał się jednak uskok wodny w Niederfinow, bowiem różnica wysokości między stanowiskiem górnym a nadodrzańskimi torfowiskami wynosiła aż 36 metrów. Ze względu na brak rozwiązań technicznych problem udało się rozwiązać dopiero po I wojnie światowej, decydując się na budowę dźwigni podnoszącej cały statek. Czas wpływania jednego statku do wanny podnośni, podnoszenie statku na wysokość 36 metrów i wypłynięcie statku trwa ok. 20 minut. Jest to spektakularny i niezapomniany widok nie tylko dla miłośników żeglugi śródlądowej, a sama konstrukcja podnośni to prawdziwy cud techniki 20 wieku. Podnośnia statków w Niederfinow znajduje się 10 km na zachód od Eberswalde. Wstęp kosztuje 1 euro. Najwygodniej



jest dojechać autostradą Szczecin-Berlin. Trasa jest doskonale oznakowana. Więcej informacji: www.eberswalde.de oraz www.schiffshebewerk-niederfinow.info

Autor: Agata Płońska
www.germany.travel



Supported by:



Federal Ministry
of Economics
and Technology

on the basis of a decision
by the German Bundestag



Adam Kwaśny

JUBILATKI MICHAŁA ANIOŁA

Trinidad de Cuba, kolonialne miasto w prowincji Sancti Spiritus, leży pomiędzy górami Escambray i plażami Morza Karaibskiego. Domy, utrzymane zazwyczaj w niebieskich i pomarańczowych barwach, mają szerokie, drewniane bramy i ozdobnie kute kraty w oknach. Plaza Mayor – główny plac miejski, jest gotową scenografią do romantycznych zdjęć. Pewnie dlatego często można tu zobaczyć białe parasolki, którymi osłaniają się

młode dziewczyny wystrojone w koronkowe suknie. Każdej towarzyszy liczna rodzina i fotograf.

Yenisey ubrana w czerwoną krynolinę, świetnie radzi sobie przed obiektywem. Jak gdyby w swoim piętnastoletnim życiu nie robiła nic poza ćwiczeniem min i gestów kobiet z towarzystwa. Na co dzień jest hałaśliwą dziewczyną w znoszonych sukienkach i rozdeptanych klapkach, które najchętniej zrzuca, aby biegać bosą po kamienistych uliczkach Trinidadu. W dorosłość wchodzi agre-



FOT. AGNIESZKA SZKLAREK

TO NIE PIERWSZA KOMUNIA

Uroczystość piętnastych urodzin (Quince) – to dla kubańskich dziewcząt okazja, żeby pięknie wyglądać i dzięki fotografii chwilę tę zachować na zawsze.



W wieku piętnastu lat Kubanka osiąga dorosłość. Dawne obyczaje pozwalałyby już jej na małżeństwo i macierzyństwo. Dziś musi mieć ustawowe osiemnaście lat. Z piętnastką – po hiszpańsku Quince (czyt. kinse) – związany jest zwyczaj organizowania profesjonalnej i często jedynej w życiu solenizantki sesji zdjęciowej. Przygotowania do niej trwają tygodniami.

sywnie, jest klótniwa i pokrzykuje na swojego ojca – Titi’ego, kubańskiego guajiro natural, czyli rolnika i kowboja. Podczas sesji, zrzuca skórę nastolatki.

Tęgi Mulat w koszulce w paski, o znaczącym, podwójnym imieniu Michał Anioł, fotografuje Yenisey na Plaza Mayor, przy metalowych figurach psów. Miejsce jest wymarzone: ażurowe, kute ogrodzenia, białe ławeczki, kwietniki, słowem ogród dla wytwornej księżniczki.

– *Spaceruj powoli alejką. Nie zasłaniaj twarzy*

parasolką. Wyżej! Odwróć do mnie buzię. Patrz tam, na czubek palmy – komenderuje fotograf. Na ławce obok siedzi makijażysta Osvaldo, młody Murzyn w obcisłych, błyszczących cekinami džinsach. Na głowie ma starannie utrzymane, drobne loczki, w uszach kilka złotych kolczyków. Przed chwilą upudrował buzię Yenisey, podkreślił kredką jej ogromne oczy. Teraz ustawił kuferek z przyborami przy nodze i przygląda się dziewczynie z przyjemnością. Kłascze w dłonie, gdy fotografowi udaje się



CZEKAJĄC NA MICHAŁA ANIOŁA

Jubilatka i jej przyjaciele
cierpliwie oczekują
przyjazdu artysty.

ją ładnie ustawić. Czasem nie wytrzyma i wykona gest, jakby to on pozował.

Michał Anioł spocął się, ale jest zadowolony. Poklepuje Yenisey po policzku, a potem dyskretnie inkasuje od Titi'ego zaliczkę. Druga część sesji ma odbyć się w jego atelier następnego dnia wieczorem.

PANNY MŁODE I WDOWY

Kubańscy z upodobaniem gromadzą porcelanowe figurki, sztuczne kwiaty i bibeloty. Na szafkach, stolikach i telewizorach stoją niezliczone zdjęcia żon, córek, kuzynek i siostr. Wyglądają na nich jak modelki i aktorki z popularnych telenowel. Bez fotografii kobiet kubański dom nie istnieje, tak jak nie może istnieć bez ich hałaśliwej obecności.

Złote i srebrne pantofelki błyszczą na stopach Mulatek. Piersi i biodra osłania delikatny tiul, rozpuszczone włosy lub szerokie rondo kapelusza. Oto panny młode w perłowych sukniach; zmysłowe wampy, którym puszyste futerka opadają z ramion; milionerki w wieczorowych kreacjach, jakich nie powstydzilby się żaden elegancki raut. Są też podróżniczki z lornetkami w dłoni w tropikalnych kapeluszach; kowbojki w wysokich butach

z ostrogami; plażowiczki w skąpych bikini, leżące na piasku w towarzystwie wypchanych krokodyli, a nawet młode wdowy w czarnych welonach, upozowane skromnie na rzeźbionych fotelach, wyprostowane i trochę przestraszone.

Podczas Quince dziewczyny odgrywają przed obiektywem wiele kobiecych ról. W życiu ich wszystkich nie zagrają.

Kolonialny dom señory Miriam stoi w zabytkowym centrum Trinidadu. W salonie dwie białe kolumny wspierają wysoki dach. Na komodach i stylowych toaletkach, wśród tłoczących się ramek, odnajdują fotografie robione jeszcze przed rewolucją. Nie są tak śmiałe jak współczesne i nie epatują radosną erotyką, wniesioną w kulturę przez Mulatek. Białe księżniczki w skupieniu patrzą z wyblakłych kartoników, celebrytów swoje piętnaście lat.

Dziadkowie Señory byli właścicielami okolicznych plantacji trzciny cukrowej. Dzięki zdjęciom pojmują skomplikowaną strukturę rodziny, która w czasach kolonialnej świetności nadała swoje nazwisko wielu Afrykanom. Kobieta przychodząca pomagać Miriam w kuchni również je nosi.

Kolejne domy, rodziny, zdjęcia... Podziw dla urody dziewcząt zawsze odbierany jest przez domowników jako cenny komplement.

GORĄCZKA OCZEKIWANIA

Przyzwyczajam się, że czas płynie tu własnym rytmem, a zdarzenia same znajdują odpowiedni dla siebie moment. Trzeba tylko być czujnym i obserwować ulicę. Wtedy niczego się nie przegapi. Sesja w studio Michała Anioła miała się odbyć we wtorek. Widzę Yenisey jak siedzi na schodach przed domem, a ciotka Mailivy nawija jej włosy na wałki. Dziewczynka trzyma w ręce kawałek rozbitego lustra i uważnie kontroluje poczynania ciotki. Obok przysiadł się chłopak Yenisey, muskularny nastolatek o dziecinnie pucołowatej twarzy. Zwykle ruchliwy i wesoły, teraz siedzi w milczeniu. Onieśmiela go krzątanie wokół jego dziewczyny.

Wieczorem okazuje się, że fotograf musiał pilnie wyjechać do stolicy prowincji – Sancti Spiritus. Sesji nie będzie.

W środę wszyscy zapewniają, że to na pewno dziś. Od rana spędzam czas w towarzystwie sąsiada Titiego, artysty malarza o przydomku Lalo, wielbiciela rumu zagryzanego pomidorami. Po zmierzchu okazuje się, że fotografa nadal nie ma. To znaczy był, ale krótko i nie zdążył nikogo o swojej obecności zawiadomić. Ktoś donosi, że pojechał z Osvaldo na plażę. Yenisey jest wściekła do łez. Wiadomość ta dociera do mnie na bujany fotel, gdzie tkwię w półśnie od kilku godzin.

W sobotę wieczorem przed domem Yenisey niespodziewanie zbiera się cała rodzina – wystrojone ciotki i wujkowie. Nawet Titi ma białą koszulę, choć zazwyczaj nosi tylko spodnie, słomiany kapelusz i obowiązkowy u kowboja długi nóż. Rodzinna procesja wyrusza bez wyraźnego sygnału. Yenisey w wałkach na głowie dźwiga wypchaną torbę. Niesie pożyczone od koleżanek ciuchy, w które będzie się przebierała.

NOCNY MARATON

Do atelier docieramy po ósmej. Na drzwiach wisi kartka z informacją, że fotograf przebywa w Sancti Spiritus. Czyli cała wyprawa na nic? Matka Yenisey uderza pięścią o drzwi. Cisza. Przystępujemy z nogi na nogę. Yenisey zgarbiła się i patrzy tępo na zamknięte drzwi. Mija kilka minut i kiedy już prawie straciliśmy nadzieję, otwiera nam uśmiechnięty Osvaldo. Wpuszcza wszystkich do środka. – *Oczywiście Michał Anioł jest, ale jeszcze go nie ma, bo śpi i właśnie został obudzony* – tłumaczy. Mamy cierpliwie czekać. Okazuje się, że kartka na drzwiach atelier wisi zawsze, bo Michał Anioł do Sancti Spiritus jeździ często.



FOT. ADAM KWASNY

ATELIER MISTRZA

Fotograf twórczą pomysłowością nadrabia brak kosztownych sukien. Młodość i uroda obronią te dziewczęta, których nie stać na wykwintne stroje.



FOT. ADAM KWASNY



JUBILATKA Z PLAZA MAYOR
Zbuntowana nastolatka
w roli księżniczki z bajki.

Fotograf żyje w trójkącie z kucharzem Alejandro, pracującym w hotelu na plaży Ancon i makijażystą Osvaldo. Atelier mieści się w kwadratowym pomieszczeniu służącym równocześnie za kuchnię i magazyn rekwizytów. Nieco dalej jest toaleta bez drzwi, w której wisi klatka z gadającą papugą.

Yenisey nieśmiało przysiada na krześle stojącym obok wysłużonej rosyjskiej lodówki Mińsk. Osvaldo, który właśnie pojadł zupy z garnka, wyciera ręce i ogląda głowę dziewczynki. Ciotki rozpościerają worek zrobiony naprędce ze swetra i zbierają do niego wałki z włosów Yenisey. Są cenne, bo plastikowe. Na co dzień kobiety muszą sobie radzić z tekturowymi rulonami.

Osvaldo owija dziewczynkę czerwoną tkaniną, układa jej włosy, robi makijaż. Pracuje szybko. Wujkowie i tata zachowują ciszę jak w kościele. Z podziwem patrzą jak mała jędza przeobraża się w księżniczkę. Obecność świadków jest ważna. Yenisey, co chwilę łypie okiem i widać jak mocno

przeżywa reakcje widowni.

Fotograf pracuje z namysłem, długo ustawia ujęcia. Sprawdza światło i przewiesza świetlówkę na długim drucie. Makijażysta też jest skupiony.

– *Stop!*

Wstrzymuje pracę, gdy zauważa, że dziewczynie wysupłał się z fryzury kosmyk włosów. Co chwilę zatrzymuje robienie zdjęć i coś poprawia. Jest profesjonalny i rozumie kobiety.

– *Teraz pokaż, co masz w tej torbie* – nakazuje Michał Anioł – *w czerwieni wystarczy.*

Yenisey kuca nad rozbebeszoną torbą i wyjmuje z niej jakieś szmatki. Fotograf przecząco kręci głową. – *To nie. To też nie. Okropne, bez sensu! Nie masz nic lepszego?*

Osvaldo z przejściem krząta się koło dziewczynki, która z już trudem powstrzymuje łzy. Katastrofa! Na nic pracowite nawijanie włosów na wałki i wypraszenie ciuchów u koleżanek. Makijażysta niespokojnie zerka na Yenisey, głęboko jej współ-

JAK Z ŻURNALA

Keyza przechowuje swoje zdjęcia z Quince. Trzyma je w kolorowym czasopiśmie niczym w albumie. Nieskazitelnym modelki są w nim tak samo bajeczne i nierealne jak jej fotografie.

czuje. Wreszcie szepcze coś do fotografa.

– *Tak, dobrze* – godzi się Michał Anioł. – *Nie masz w co się ubrać, to będziemy cię rozbierać. Panowie wychodzą na zewnątrz!*

Siadamy na krawężniku przed domem. Titi podaje mi swoje ulubione cygaro, które nie posiada nawet nazwy. Robił je jakiś sąsiad, ale za to kosztuje jedno peso, czyli cztery centy europejskie. Z pobliskiego baru dobiegają głośne rozmowy. Tłoczno tam, choć rum dawno się skończył. Barman rozkłada ręce i pokazuje, że plastikowa butla jest pusta. W głębi nieoświetlonej ulicy rozlega się sygnał radiowozu patrulli. Milicja przejeżdża na sygnale. Po chwili mijają nas biegnący po ciemku maraton – jeden po drugim, pięciu biegaczy. Za nimi przemyka kolejna patrulla. Titi kiwa głową ze zrozumieniem. – *Zapowiadali nocny maraton jubileuszowy.*

– *Jaki to jubileusz?* – pytam, obracając w ustach cygaro. Titi nie wie, patrzy na wujków, ale oni tylko radośnie wyszczerzają zęby.

Kiedy wracamy, dziewczyna opowiada, że fotografowano ją nago. To znaczy niezupełnie,



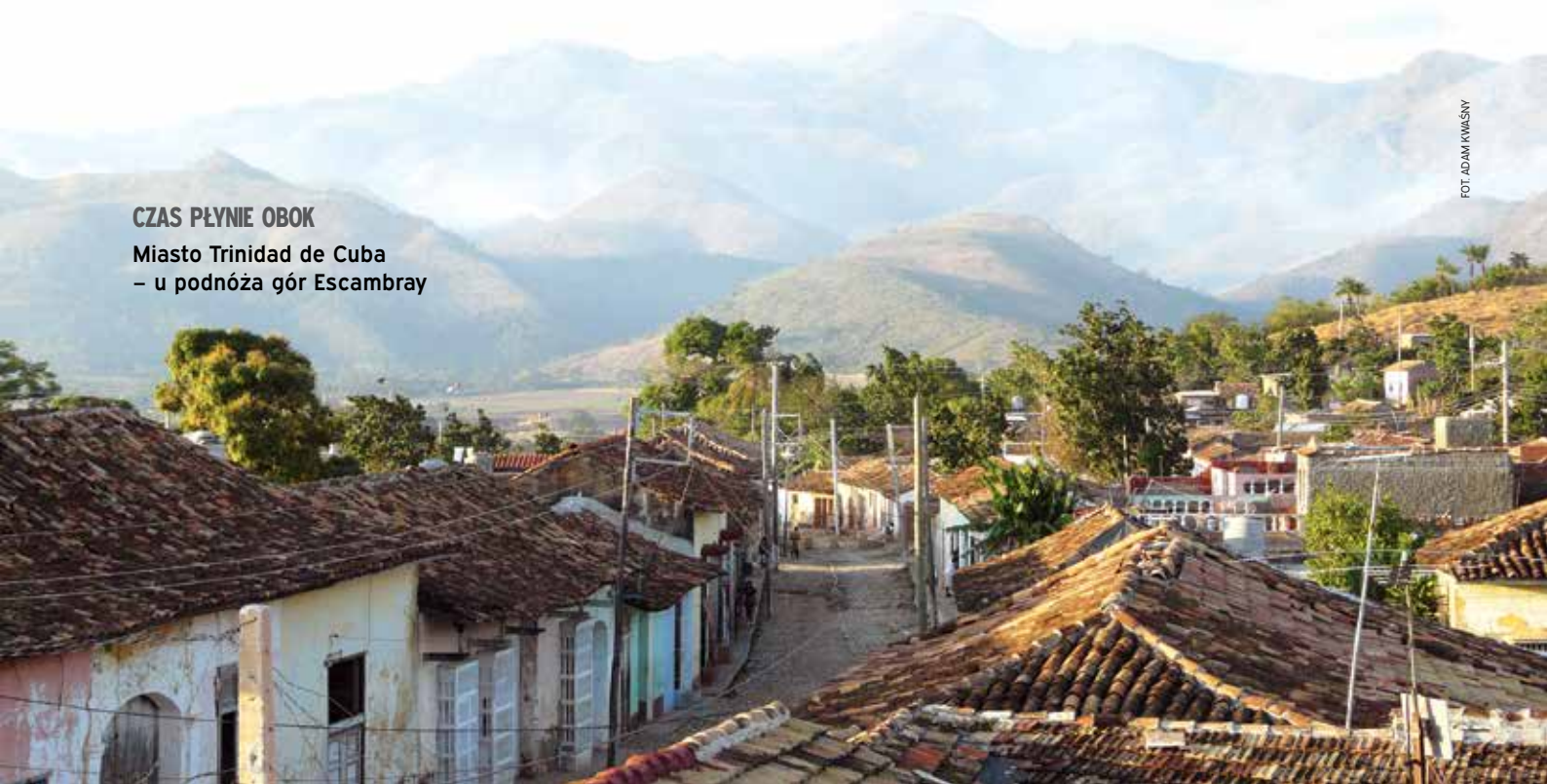
bo była związana konopną liną, a na pupie miała pluszowy kapelusz. Potem zasłaniała piersi bukietem kwiatów.

Osiemnaście zdjęć, za każde Titi zapłaci półtora dolara. Do tego doliczyć musi sesję na Plaza Mayor, wypożyczenie krynoliny i wałków, tipsy, makijażystę, poczęstunek dla rodziny, rum, etc. Dziurę w domowym budżecie będzie łątał pracując tygodniami przy pomidorach na poletku w górach. ○

Adam Kwaśny – dramaturg, scenarzysta i prozaik. Od kilku lat regularnie podróżuje na Kubę, gdzie odnalazł swoją drugą ojczyznę.

CZAS PŁYNI OBOK

Miasto Trinidad de Cuba
– u podnóża gór Escambray





ZRAZY Z KASZĄ POD PIRAMIDAMI

Statki parowe docierały wówczas jedynie do Faszody, leżącej nad Białym Nilem, ponad 600 km na południe od Chartumu. Dalej Biały Nil gubił się w rozległych bagnach i rozlewiskach zwanych suddami, porośniętych papirusami, zatkanych zwartą masą roślin wodnych, które miał służyć dopiero przybór wód w porze deszczowej. Karawana musiała je ominąć. Za wyspą Abba pożegnała się z osadami i miasteczkami arabskimi, złożonymi z domów o dziwacznych baniastych dachach uwitych ze stomy dochnu i za osadą Goz–Abu–Guma wjechała w kraj czarnych. Był on zupełnie pusty, gdyż derwisze Mahdiego uprowadzili z niego całą ludność murzyńską i sprzedawali ją na targach Chartumu, Omdurmanu, Faszeru, El–Obeidu. Dawne plantacje sorga, manioku i bananów pokryła dżungla.



Poznajecie ten tekst? To pierwszy polski literacki opis państwa, które na mapach Afryki pojawi się oficjalnie 9 lipca 2011 roku. Tak donoszą agencje prasowe w chwili, gdy przytaczam słowa, które na łamach „Kuriera Warszawskiego” ukazały się równo 100 lat temu, kiedy pismo to zaczęło drukować w odcinkach powieść Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”. Wydarzenia przez niego

przedstawione odnoszą się do 1885 roku, gdy mahdyści pokonali trzy armie egipskie i zdobyli Chartum. Fantazja pisarza zeknęła Stasia Tarkowskiego z przywódcą powstania sudańskiego, zarabizowanym Beduinem z Nubii, podającym się za wysłannika Bożego. Dowodził plemionami z północy Sudanu, wyznającymi fanatyczny islam. Dopiero co kazał wbić na pal świętą głowę angielskiego generała Gordona.

Sienkiewicz prowadził Stasia i Nel przez piaski Sahary i cały Sudan – do lasów zwrotnikowych południa i gór położonych o miesiąc drogi na wschód od Białego Nilu. Jego bohaterowie przeżyli w drodze „białe godziny” niezwykłych upałów, tropikalne burze, ataki lwów, spotkanie ze słoniem, którego wyratowali z pułapki i uczynili przyjacielem. Z wielką znajomością rzeczy opisał przyrodę oraz życie

i zwyczajnie plemion należących do najważniejszych południowych sudańskich ludów Szylluk i Dinka, o których dysponował rozległą wiedzą. Jak wiadomo, znał z autopsji Egipt i Tanganikę oraz Mombasę w Kenii, w której zakończyła się niezwykła przygoda dzieci porwanych dla okupu przez mahdystów. W Sudanie jednak osobiście nie był. Podróż do Afryki odbył w latach 1890–1891, kiedy Mahdi już nie żył, ale wzniecone przez niego powstanie jeszcze nie wygasło. Dowodził nim następcą Mahdiego, Abdullahi. Największe wówczas państwo w Afryce, które za czasów Sienkiewicza obejmowało blisko 2 mln km kw., płonęło w ogniu walk do 1898 r. Władze anglo-egipskie nie wpuszczały do niego żadnych cudzoziemców.

Sudan znaczy czarny

Zagłębmy do pamiętników żony konsula austriackiego w Kairze, zatytułowanych „Obrazy życia na Wschodzie 1879-93”. Anna Neumanowa, z domu Szawłowska, polska ziemianka z Pokucia, prowadziła w stolicy Egiptu salon towarzyski, w którym z gośćmi z kraju spotykała się nieliczna polska kolonia nad Nilem. Wśród turystów, którzy trafili do jej domu, odnotowała przedstawicieli naszej arystokracji – Sapiehów, Lubomirskich, Potockich. Szczególnego gościa przywiózł do niej hr. Jan Tyszkiewicz.

„Pewnej jesieni wyczytałam w dziennikach wiadomość, iż Henryk Sienkiewicz przyjeżdża do Egiptu z zamiarem odbycia wycieczki w głąb Afryki. Była to w istocie pamiętna dla mnie chwila, kiedy autor „Potopu” ukazał się w saloniku moim (...). Przyjmowałam gościa w skromnym kąciku naszych przyjaciół (...). Wystawszy do niego zaproszenie „na zrazy z kaszą” – otrzymałam odpowiedź nader miłą: że takich zaprosin pod piramidami się nie odmawia”. Następnego dnia Sienkiewicz z Tyszkiewiczem udali się do oazy Fajum. W tej właśnie oazie zostali porwani młodzi bohaterowie „W pustyni i w puszczy”. Niestety, w czasie wycieczki Sienkiewicz się przeziębził. Mimo to przyszedł pożegnać się przed wyjazdem do Zanzibaru. Można się domyślić, że skorzystał z informacji o Sudanie, jego walkach i dziejach, które Anna Neumanowa przedstawiła w następnym rozdziale swego pamiętnika. Opisała w nim klęski wojsk egipskich i angielskich pod Chartumem, które odepchnęły Egipcjan i Anglików od prowincji południowych, obojętnych wobec powstania arabskiego. Generał Gordon, który ogłosił, że handel niewolnikami jest najsurowiej wzbroniony, uznany został przez ludność murzyńską za zbawcę. Rodaczka uświado-

miła Sienkiewiczowi, że nazwa Sudan wywodzi się z języków nilockich, w których słowo „tssuad” znaczy czarny. Natchnęła go współczuciem i sympatią do południowosudańskich ludów, których przedstawiciele pomogli potem Stasiowi i Nel uciec przed pogoniami mahdystów. Sienkiewicz skierował swych bohaterów w stronę najbardziej bezpiecznej wtedy skrajnej południowej prowincji Dżuba (dziś Ekwatoria), której gubernatorem był od 1878 roku Mehmed Emin Pasza. Jego nazwisko wymieniają w książce o Stasiu i Nel ich porywacze. Jeden z nich wybierał się „na daleką wyprawę na południe przeciw Eminowi Paszy, który siedzi w Lado mając tam parowce i wojsko”. Mahdyści atakowali go kilkakrotnie, ale z pomocą pospieszył mu słynny podróżnik angielski Henry Morton Stanley, który przeprowadził go wraz z większą częścią wiernych żołnierzy do miasta Bagamojo nad Oceanem Indyjskim, w którym rezydował zarządca niemieckiej kolonii Tanganika. Sienkiewicz musiał słyszeć, iż Niemcy podejmowali egipskiego gubernatora tak wylewnie, że spadł z balkonu podczas uczty i odniósł ciężkie obrażenia. Wyleczony, przeszedł w 1890 r. na służbę kolonialnej administracji Niemiec w Afryce Wschodniej. Nasz pisarz nie zdołał spotkać się z nim osobiście, gdyż Emin Pasza rywalizował wówczas ze Stanleyem o palmę pierwszeństwa odkrycia źródeł Nilu i przebywał gdzieś w masywie górskim Ruwenzori. A szkoda, bo postać ta mogła stać się bohaterem jednej z jego kolejnych książek.

Pasza rodem z Nysy

Mehmed Emin Pasza, właściwie Eduard Schnitzer, urodził się w Nysie na Śląsku opolskim w rodzinie żydowsko-niemieckiej. W wieku dziecięcym przeszedł z matką na protestantyzm, a po ukończeniu medycyny we Wrocławiu i Berlinie zaciągnął się jako lekarz do armii tureckiej. Przyjął islam, zmienił nazwisko, przez jakiś czas, po otrzymaniu tytułu paszy tureckiego, pełnił funkcję otomańskiego gubernatora Albanii. W równikowym Sudanie zamieszkał w miejscowości Lado nad Nilem Górkim. Był szanowany przez plemiona murzyńskie. W 1892 r. został zamordowany przez arabskiego handlarza niewolnikami na terenie dzisiejszego Konga. Przed nim do Sudanu południowego trafiło kilku Polaków z zaboru rosyjskiego. W 1848 r. Leon Cienkowski po ukończeniu studiów przyrodniczych na Uniwersytecie Petersburskim został zaproszony do wzięcia udziału w wyprawie naukowej nad Nil Biały i Nil Błękitny, zorganizowanej przez słynnego rosyjskiego podróżnika Józefa

Kowalewskiego. Pływał po obu Nilach na barkach i felukach, na wielbłądach dotarł do miejsc nietkniętych stopą Europejczyka. Był zarówno w Faszodzie jak i na bagnach Suddu. Po powrocie z tej wyprawy, której część odbył samotnie, drukował w „Gazecie Warszawskiej” relacje z Egiptu, Nubii i Sudanu. Prawdopodobnie pomogły one Sienkiewiczowi tak dokładnie opisać trasę Stasia i Nel.

Tomasz Bartmański, oficer artylerii wojsk Królestwa Kongresowego, po upadku powstania listopadowego, w którym dośłużył się stopnia podpułkownika i złotego krzyża Virtuti Militari, wyemigrował do Francji, gdzie pracował przy budowie dróg i mostów. Stamtąd trafił do Algieru. W 1842 r. zawędrował do Egiptu, gdzie budował port w Aleksandrii. Tam zwerbował go do ekspedycji w górę Nilu Białego francuski inżynier i podróżnik Arnaud-Bey, któremu patronował ówczesny władca Egiptu Muhammad Ali. Wyprawa dotarła na samo południe Sudanu, do granic Ugandy i Konga. Stamtąd zawróciła. Znałe są wyrywkowe publikacje Bartmańskiego z tej podróży w prasie polskiej i zagranicznej. Pamiętniki, które przygotowywał do druku, spłonęły trzykrotnie. Pierwsza wersja w zwykłym pożarze jego majątku w pow. złoczowskim w 1851 r. Odtworzone z mozołem, spaliły się w czasie I wojny światowej. Reszta papierów osobistych zginęła bezpowrotnie w pożarze w czasie II wojny światowej.

Kraj zupełnie dziki, dróg, handlu i przemysłu pozbawiony

Najciekawszą, najobszerniejszą i najbardziej wszechstronną polską relacją z Sudanu Południowego przedstawił w 1932 r. nasz wspaniały podróżnik po Afryce, Kazimierz Nowak, którego Ryszard Kapuściński zaliczył do klasyków reportażu zagranicznego. Mam nadzieję, że wróć do jego wrażeń sprzed 70 lat w jednym z następnych felietonów poświęconych polskiemu poznawaniu świata. Poczekajmy, jak się rozwinie sytuacja nad Nilem Białym i Nilem Błękitnym po ogłoszeniu niepodległości przez rdzennych mieszkańców Czarnej Afryki. Czy Szyllukowie, którzy zachowali tradycyjne wierzenia afrykańskie, Dinkowie wyznający w większości chrześcijaństwo, ludy Luo wśród których są plemiona animistyczne, sunnickie i nawrócone przez misjonarzy potrafią wspólnie rządzić i utrzymać wspólne państwo? 55 wolne państwo Afryki, 197 niepodległe państwo świata? ○



Zawsze chciałem dotrzeć do Caral, bo zawsze chciałem ujrzeć najstarsze miasto w Ameryce Łacińskiej. Nawet wtedy, gdy jeszcze nie miałem pojęcia, że jest nim właśnie Caral; gdy nie wiedzieli tego jeszcze najbardziej biegli archeologowie.

Caral, położone 250 km na północ od Limy, leży w sercu całkowicie kamienistej pustyni. To pofałdowany, na wskroś wyschnięty ugor, pokryty niezliczonymi odłamkami skał. Ostatnie miejsce, w którym mógłby chcieć osiedlić się człowiek. I właśnie z tej niegościnnosci wyniknęły kłopoty dla dr Ruth Shady – peruwiańskiej archeolog, która wiedzona nieomylną intuicją jako pierwsza w 1994 roku zainteresowała się tym terenem.

Mieszkająca w Limie Ruth Shady właśnie wróciła z USA, gdzie przez jakiś czas pracowała w Dumbarton Oaks – centrum archeologii prekolumbijskiej niedaleko Waszyngtonu. Po powrocie zaczęła szukać jakiegoś stanowiska wykopaliskowego znajdującego się możliwie jak najbliżej Limy. Nie interesowały ją tereny tknięte już łopatą archeologów. Miało to być coś całkowicie dziewi-



FOT. ROMAN WARSZEWSKI



AWANTURA O CARAL

Roman Warszewski

czego i nieznanego, ale nieopodal peruwiańskiej stolicy. Ponieważ nie miała dość pieniędzy na prowadzenie badań, wiedziała, że będzie musiała skorzystać z nieodpłatnej pracy swoich studentów. Dlatego ważne było, by mieli oni jak najbliżej do miejsca zamierzonych wykopalisk.

NA POCZĄTKU BYŁA RYBA

W 1994 roku Ruth wyruszyła z Limy na północ drogą wzdłuż oceanu, dokładnie przyglądając się wszystkim mijanym nadbrzeżnym dolinom. W bardzo dalekiej przeszłości w każdej dolinie rozwijała się kultura, po której pozostały cenne ślady. Archeologowie eksplorowali te tereny od dawna i prawie każdy z nich coś tutaj odnajdywał. Mimo że były to miejsca pustynne i niegościnne, tuż obok znajdowały się życiodajne wody oceanu. Przybrzeżny zimny prąd (dziś nazywany peruwiańskim) obfitował w nieprzebrane ławice ryb. Wystarczyło tylko trochę odpłynąć od brzegu i zarzucić sieci...Pradawni mieszkańcy tak właśnie czynili. Rybołówstwo stanowiło cywilizacyjny zaczątek w Peru, kraju leżącym nad Pacyfikiem. W tym rejonie świata zanim wynaleziono najprymitywniejsze narzędzie do spulchniania ziemi, stworzono rybackie sieci i żagle. Doprowadziło to na przestrzeni wieków do rozwoju najwspanialszego na świecie staroperuwiańskiego tkactwa. Na samym początku jednak siatki o niezbyt dużych okach umożliwiały łatwe zdobywanie pożywienia. Były cywilizacyjną trampoliną, istniejącą na długo zanim zaczęło rozwijać się tu rolnictwo.

OSNOWA I WĄTEK

Dawni mieszkańcy Caral potrafili tkąć. Na początku tylko sieci.

TAJEMNICZE WZGÓRZA

Doktor Ruth Shady, jadąc swym terenowym samochodem na północ wszystko to, oczywiście, wiedziała. Podobnie jak każdy archeolog, który interesował się tym terenem. W każdej mijanej przez nią dolinie prace już trwały. Dr Shady zastanawiała się, czy znajdzie jeszcze coś dla siebie...

– *Caral było pierwszą doliną, której nie tknęli archeolodzy* – opowiadała później dziennikarzom, gdy jej odkrycie stało się wielką sensacją.

Uwagę Shady zwróciły okoliczne pagórki, które w jej opinii nie do końca wyglądały na naturalne. Czy mogły być prastarymi, zniszczonymi strukturami piramidalnymi? Tęgo nie można było wykluczyć. Miejsce było znacznie bardziej oddalone od oceanu aniżeli inne stanowiska archeologiczne – co mogło wskazywać, że są to jednak wzgórza. Zniechęcać do badań mógł też brak jakichkolwiek śladów ceramiki – sugerowało to, że w przeszłości raczej nikt się tu osiedlał.

Cóż było jednak robić? Ambitna pani archeolog nie miała wielkiego wyboru. Jeśli chciała kopać jak najbliżej Limy, pozostawało jej tylko Caral.

ZOBACZYĆ CARAL

Moja podróż z Limy do Caral, wiedzie najpierw autobusem do Huacho – niewielkiego, rybackiego miasteczka, które rozsiadło się na klifie nad Pacyfikiem. Potem trzeba odbić w głąb łądu i liczyć na szczęście. Dalej drogi już właściwie nie ma – a od celu podróży dzieli mnie jeszcze prawie 30 kilometrów. Z takim bezdrożem – usianym niezliczonymi

skalnymi odłamkami i zwałami żwiru i kurzu – może zmierzyć się jedynie pojazd o bardzo silnym zawieszaniu i jak najwyżej osadzonej misce olejowej. Trzeba wynająć taki samochód.

Po kilkunastu kilometrach, których pokonanie zajmuje blisko godzinę, niespodziewanie pojawia się powykrzywiany wiatrem drogowskaz: CARAL. Za nim jest jeszcze więcej kamieni i jeszcze więcej kurzu. Aż człowiek myśli: czy ten drogowskaz nie był jakąś fatamorganą?

ły wylaniać się pierwsze kamienne struktury, dotąd skrywane pod zboczami okolicznych wzgórz. Było ich nadspodziewanie dużo i były stosunkowo dobrze zachowane. Na tej podstawie już po pierwszych sezonach wykopaliskowych można było wykreślić granice dawnego osiedla, a może miasta, a nawet metropolii.

Im dłużej kopano, tym bardziej oczywiste stało się, że nie jest to jakieś niewielkie skupisko dawnych budowli, lecz ośrodek miejski o nieprze-



**PREHISTORYCZNY
AMFITEATR W CARAL**
Czy starożytna Grecja,
Rzym czy Peru –
sztuka towarzyszyła
człowiekowi od zawsze.

Jednak nie – Caral pojawia się niespodziewanie – jakby wśród pustyni wyrosło kilkanaście obłych pagórków.

– *To te piramidy* – od niechcienia wyjaśnia kierowca.

Jesteśmy na miejscu.

Ale czy na pewno?

Jest tu tak samo szaro i odpychająco, jak podczas całej drogi. Gdzie ta wielka sensacja?

ANI JEDNEJ SKORUPY

W dr Ruth mogły budzić się podobne wątpliwości, gdy zaczynała wykopaliska. Bardzo długo wszystko przemawiało za tym, że podjęta przez nią decyzja o rozpoczęciu badań w Caral jest niewypałem. Jednak intuicja jej nie zawiodła.

Po dwóch latach kopania spod łopat zaczę-

ciętej randze: jedno z ważniejszych centrów rozwoju na pacyficznym wybrzeżu prekolumbijskiego Peru.

Podstawowe pytanie brzmiało, z jakich czasów pochodziło? Nie łatwo było dać odpowiedź. Określanie wieku kamiennych znalezisk jest bowiem możliwe tylko wtedy, gdy towarzyszą im organiczne pozostałości. A tu ich nie było. Pomocne mogą być, znalezione wśród kamiennych budowli, odłamki ceramiki o wzorach możliwych do chronologicznego przyporządkowania. W Caral jednak żadnej ceramiki również nie znaleziono.

Z jednej strony było to bardzo niepokojące. Mogło oznaczać, że stanowisko to wcześniej zostało dokładnie „wyczyszczone” przez rabusiów starożytności, tak zwanych „huaqueros”? Jednak doktor Shady wiązała z tym faktem pewne nadzieje. Były one tak wielkie i tak nieoczekiwane, że początkowo

nie miała odwagi głośno ich wypowiedzieć. Dopiero po pewnym czasie coraz bardziej oczywistym stawało się, iż mogą one być uzasadnione...

Zastanawiające było bowiem to, że w Caral, obok licznych spłaszczonych piramid, odkryto też duży kolisty amfiteatr. Takie budowle w starożytnym Peru należały niewątpliwie do rzadkości. Tego rodzaju okrągły plac zidentyfikowano tylko w Chavin de Huantar – kolebce staroperuwiańskiej kultury położonej na skrzyżowaniu dróg wiodących znad oceanu i z dżungli. Ale Chavin de Huantar było miejscem prastarym, przez wielu uznawanym za absolutny początek wszystkiego,

swoje nosidło. Okazało się to... czynem wręcz przełomowym. Kosz wykonany był z „shicry” – długich, wysuszonych traw, które – jako materiał organiczny – można datować. Doktor Ruth pobrała jego próbki. Chcąc mieć gwarancję, że analiza zostanie wykonana prawidłowo wysłała je do profesora Jonathana Haasa z Field Museum w Chicago. Tak, jak zasugerowali jej to znajomi naukowcy z Dumbarton Oaks.

Prawdziwa bomba wybuchła kilka tygodni później, gdy przyszła odpowiedź. Amerykanie analizę „shicry” przeprowadzili trzykrotnie. I za każdym razem wynik był taki sam.

ŚLADY DAWNEJ METROPOLII

Wyobraźnia i łopata archeologa odkrywają przed nami świątynie, place, domostwa.



co w Peru związane było z cywilizacyjnym rozwojem, który dwa, trzy tysiąclecia później doprowadził do pojawienia się Inków – Synów Słońca.

TYSIĄCLETNIJA TRAWA

W końcu szczęście do doktor Shady uśmiechnęło się szeroko. W jednym z wykopów w Caral odnaleziono pozostałości kosza, w którym w przeszłości transportowano kamienie do budowy piramid. Najpewniej któryś z pradawnych budowniczych był już tak znużony całodzienną pracą, iż porzucił

Wiek Caral można datować na... 2700 lat przed naszą erą!

Była to absolutna sensacja!

Stało się jasne, dlaczego w Caral nie odkryto żadnej ceramiki. Miasto to powstało na długo wcześniej, zanim w Ameryce zaczęto wyrabiać jakąkolwiek ceramikę. Pochodziło z czasów preceramicznych!

Tak starego – liczącego blisko 5000 lat! – ośrodka miejskiego w Ameryce Łacińskiej jeszcze nigdy i nigdzie nie odkryto. W konfrontacji z tym znaleziskiem, wspomniane Chavin de Huantar li-

czące 3700 lat, uchodzić mogło za oseska!

Caral – z dnia na dzień – stało się kolebką wszystkich kultur Ameryki Prekolumbijskiej!

NIE BYLI A ODKRYLI

Tu jednak pojawia się ciemniejszy wątek tej historii. Profesor Jonathan Haasa namówił doktor Ruth Shady do wspólnej publikacji na łamach prestiżowego miesięcznika „Science”. Natomiast na stronie internetowej amerykańskiej uczelni, którą sam reprezentował, odkrycie w Caral przedstawił... jako swoje osiągnięcie! Podobnie uczyniła również jego

archeologów rozpoczęło właśnie wykopaliska w bezpośrednim sąsiedztwie Caral. Pytani, dlaczego próbowali przywłaszczyć sobie cudze odkrycie, tłumaczyli, iż w ten sposób chcieli tylko pomóc Peruwiańczykom w zdobyciu odpowiednich funduszy na kontynuowanie badań.

WSTĘP WZBRONIONY

Od 2000 roku, gdy doktor Ruth Shady oficjalnie ogłosiła sensacyjne datowanie tego miejsca, Caral stało się peruwiańską dumą narodową. Tak głoszą plakaty, na które można natknąć się już na mię-



ŚWIADECTWO TRAWY

Roślinne włókna szicry umożliwiły precyzyjne określenie wieku ruin.

żona, profesor Winifred Creamer. Doniesienia o „ich sukcesach” pojawiły się na stronach www. Creamer i Haasa, choć wtedy żadne z nich jeszcze w Caral nie było!

Tego już dla Ruth Shady było za wiele. Peruwiańska odkrywczyni zagroziła procesem sądowym i międzynarodowym skandalem. Po pewnym czasie fałszywe doniesienia z internetu usunięto. Jednak zanim do tego doszło, prof. Creamer – za odkrycia w Caral – została uznana na swojej macierzystej uczelni za „kobietę roku”.

Głodne sukcesu małżeństwo amerykańskich

dzynarodowym lotnisku w Limie. Miejsce urosło do rangi „matki wszystkich kultur prekolumbijskich obu Ameryk”. Z drugiej strony – dosłownie w sąsiedniej dolinie – działa konkurencyjna ekipa archeologiczna.

Caral cały czas jest pod nadzorem. Można poruszać się tu tylko ściśle wytyczonymi ścieżkami, z których nie wolno zbroczyć nawet na pół kroku. Szkoda, bo miejsce jest naprawdę imponujące i tak rozległe, iż trudno je w całości objąć wzrokiem. Jedynie spoglądając ze szczytów piramid, można by w pełni docenić, z czym mamy

CO WIDZI KAMIEŃ?

Tajemniczy kamienny obelisk z zarysem wydłużonej twarzy i widocznym lewym okiem.



FOT. ROMAN WARSZEWSKI

do czynienia. Ale... jak wszędzie w Caral, wchodzenie na niedawno odsłonięte konstrukcje jest, rzecz jasna, zabronione.

Okoliczne wzgórza okazały się tarasowymi piramidami. Do tej pory odsłonięto ich szesnaście, choć niewykluczone, że jest ich tu jeszcze więcej. Wyrastają z szarego, pustynnego tła i robią prawdziwie upiorne wrażenie. Wyglądają tak, jakby stanowiły na poły zniszczoną teatralną dekorację do przedstawienia o prehistorycznym mieście duchów.

ZUPEŁNIE INNI

– *To bardzo dziwne miasto* – opowiada Enrique Gonzales, który nie odstępuje mnie nawet na krok, gdy zagłębiam się w ruiny. – *Uświadamia nam, w jak odmienny sposób kiedyś ludzie żyli i myśleli*

Mimo że prace trwają tu już od 15 lat, nie ma miesiąca, by miejsce to nie zaskoczyło czymś nowym. Można nawet powiedzieć, że z czasem tych zaskoczeń i zdziwień wcale nie ubywa, lecz jest ich coraz więcej.

Bardzo znamienne jest na przykład to, że miasto nie miało żadnych murów. W przeszłości (całkiem inaczej niż dzisiaj!) najwidoczniej było całkiem otwarte. Sugeruje to, że jego mieszkańcy z nikim nie pozostawali w żadnym konflikcie.

Już tylko ten fakt uświadamia nam, z jak odległymi i odmiennymi czasami mamy do czynienia.

O wyjątkowym statusie miejsca świadczy również odnalezienie tu wielu szczątków instrumentów muzycznych wykonanych z kości. Gdy skojarzyć to z faktem, iż jedną z najważniejszych centralnych budowli jest wspomniany już kolisty amfiteatr, można przypuszczać, iż różne inscenizacje, którym towarzyszyła muzyka kościanych fletów i piszczałek, były tu chlebem powszednim. Czy Caral było zatem otwartym dla wszystkich miastem muzyków i artystów?

– *Wiele na to wskazuje* – potwierdza moje domniemania Gonzales. – *Ale nie tylko artystów. Także kapłanów, lekarzy, znachorów. Każda z szesnastu odkrytych piramid była bowiem rodzajem świątyni. A we wnętrzach kilku z nich odkryto rdzawe ślady po „achiotie” – rosnącego w dżungli medycznego specyfiku.*

– *A może „achiotie” było tylko silnym, czerwonym barwnikiem? Przecież do dziś w selwie jest stosowane przez Indian do malowania twarzy* – zastanawiam się głośno.

Ciekawi mnie, czy datowanie proszku „achiotie” potwierdza chronologię ustaloną na podstawie włókien „shicry”?

– *Nie tylko potwierdza* – mówi Gonzales. – *Nawet jeszcze bardziej ją cofa, co Caral czyni miejscem jeszcze starszym niż dotąd sądzono.*

O ile starszym? Będzie wiadomo dopiero wtedy, gdy swoje wyniki ogłosi ekipa Haasa.

W ten sposób współczesna rywalizacja wciska się i odciska swe nieubłagane piętno na tym macezniku artystów i kapłanów sprzed wielu tysięcy lat, który niegdyś był oazą pokoju. ○

**Roman Warszewski**

dziennikarz i pisarz.

Wydawca i redaktor

naczelnym miesięcznika

Żyj Długo.

Autor m.in. takich

książek jak: *Pokażcie mi**brzuch terrorystki, Skrzy-**dlaci ludzie z Nazca, Tajna misja El Dorado**i Q'ero. Długowieczność na zamówienie.*

Lada chwila ukaże się jego monografia

poświęcona walkom o ostatni inkaski bastion – *Vilcabamba 1539-1572.*

4-6.08.2011

XXIV Międzynarodowe Targi Branży Sportowej i Outdoorowej

TargiKielce

EXHIBITION & CONGRESS CENTRE



KIELCE SPORT-LATO

NAJWIĘKSZE
FITNESOWE
WYDARZENIE LATA

5-6.08.2011
**FitStyle
Summer**

www.lato-sport.pl

Patronat medialny:

Podróże

Ski

www.fit.pl

KingSport

OUTDOOR.PL



Sponsor wielokrotnego Mistrza Polski



wspinanie.pl

UltraSport.pl

SNOW BOARDS

SportBiznes.pl

podroze.pl

TARGI KIELCE S.A. ul. Zakładowa 1, 25-672 Kielce

Współpraca:

Grzegorz Figarski
Dyrektor Projektu
Tel. +48 41 365 12 33
Fax.: +48 41 365 13 10
e-mail: figarski.g@targikielce.pl

Joanna Marcjan
Zastępca Dyrektora Projektu
Tel. +48 41 365 12 43
e-mail: marcjan.j@targikielce.pl

summit
SUMMIT SA
tel. 0517 195 489
e-mail: targi@summit.pl

GÓRY
Wydawnictwo GÓRY
tel. +4812 421 14 82
e-mail: jacek@goryonline.com

Robert Szewczyk

ZUPEŁNIE NIEDAWNO W AMERYCE

KOWBOJ Z MARLBORO TU BYŁ

Monument Valley. Kadr jak z westernu. Czerwona barwa skał to dzieło zachodzącego słońca i tlenku żelaza zawartego w skałach.

FOT. ROBERT SZEWCZYK



Przestrzeń. bezkresna i falująca rozgrzanym powietrzem pusta szosa, znikająca hen za wciąż uciekającym horyzontem i wyblakły od słońca błękit nieba. Cichy szum silnika na zupełnie opustoszałej bocznej drodze, na której jesteś zupełnie sam.



Jeśli zatrzymasz się nocą, to pod niebem, usianym bezlikiem gwiazd usłyszysz dochodzące z niedaleka wycie kojota. On też patrzy w górę. Przypomina sobie, że pomagając Stwórcy układać gwiazdy na nieboskłonie w zniecierpliwieniu rozsypał je wszystkie jak popadnie. Pan przegnał go, a kojot do dziś wyje ze złości, gdy tylko zobaczy nad sobą gwiazdy. Tak mówią Indianie Navajo. Wszędobylski, ale i płochliwy kojot jest dla nich tym, czym dla nas czarny kot.

ZASCHNIĘTE BŁOTA

Zabriske Point
w Dolinie Śmierci.

KAP, KAP – PŁYNIE CZAS

Navajo mówią też: „Usiądź spokojnie, a ziemia przemówi do ciebie”.

Tych miejsc, w których ziemia chce opowiedzieć swoją historię jest na obszarze amerykańskiego południowego zachodu wciąż dużo. Trzeba jedynie zaopatrzyć się w wodę, wygodne buty, kapelusz i wejść w głąb tego pieca, jakim nawet późnym wrześnieowym latem może okazać się skalista pustynia północnej Arizony czy Nevady.

O ile to możliwe, warto omijać wielkie skupiska ludzi, traktując miasta jedynie jako bazy wypadowe do kolejnych podróży po rzadko zaludnionej prowincji. Tam można jeszcze znaleźć miejsca, gdzie życie toczy się wolniej, gdzie niemłody już właściciel równie leciwiej stacji benzynowej osobiście zatkanuje twój samochód, umyje przednią szybę i zechce pogawędzić. Napotkany na bezludziu szeryf, z z troskaniem zaoferuje pomoc, zaskoczony, że ktoś celowo błąka się po tej dzicy.

ŻYCIE W DOLINIE ŚMIERCI

Osią moich podróży po tym regionie Stanów Zjednoczonych jest rzeka Kolorado wraz z jej kilkoma większymi dopływami na terenie Utah i Arizony. Zachodnią rubież tej wyprawy stanowi leżąca już w Kalifornii Death Valley, osławiona Dolina Śmierci, najmniej przyjazny fragment rozległej pustyni Mojave. W tym zapadniętym poniżej poziomu morza rowie tektonicznym, wbrew nazwie i pomimo ekstremalnych warunków klimatycznych, toczyło i wciąż toczy się życie. Łatwo tu napotkać



opuszczone kopalnie i miasteczka pełne śladów dawnych pionierów. W najczęściej odwiedzanych miejscach, takich jak Zabriskie Point czy Dante's View, strażnicy parku z werwą i entuzjazmem, mimo czterdziestostopniowego upału, opowiadają o historii tych miejsc i przypominają turystom: „Pijcie wodę! Dużo wody!” Trudno wtedy uwierzyć, że niemal co roku, na przełomie lutego i marca, pustynia w Dolinie Śmierci zakwita na krótko mnóstwem barw, gdy znad otaczających ją gór nadejdą skąpe, wiosenne deszcze.

ZMĘCZONA RZĘKA

Rzeka Kolorado, niegdyś nieprzewidywalna i nieujarzmiona, dziś zaprzęgnięta do kieratu turbin i spiętrzana w sztucznych jeziorach, służy przede wszystkim zaspokajaniu potrzeb milionów domostw z pięciu stanów: Kolorado, Utah, Arizony, Nevady i Kalifornii. Hamowana przez wielkie tamy nie ma już siły dopłynąć, jak niegdyś, do Zatoki Kalifornijskiej. Miejsce dawnej, bogatej w życie, bagnistej delty zajęła pustynia, jedynie okresowo przecinana potokami, które trudno dziś nazwać wielką rzeką Kolorado. „Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną” – tak określali wieczność Indianie. Kolorado jeszcze płynie, ale gaśnie zbyt wcześnie. Spowodowane przez gospodarkę zmiany w składzie chemicznym wody, jej temperaturze i sile nurtu mają niebagatelny wpływ na faunę –

istnienie czterech endemicznych gatunków ryb jest dziś zagrożone. Ale, jak mówią miejscowi, dopóki Góry Skaliste pokrywają śniegi, dopóty Kolorado będzie szukała swojej drogi do Pacyfiku. Kolorado to rzeka cierpliwa i pracowita, czego najbardziej spektakularnym dowodem jest Wielki Kanion.

WIELKA DZIURA

Według geologów przedarcie się rzeki Kolorado przez płaskowyż o tej samej nazwie nastąpiło ok. 17 milionów lat temu i po dziś dzień Wielki Kanion, dzieło nigdy nie ukończone, jest rzeźbiony przez rzekę. Tylko zdjęcie satelitarne jest w stanie pokazać go w całości. Żadna fotografia zrobiona z lądu czy z powietrza nie odda w pełni ani potęgi tego miejsca, ani wrażenia, jakie robi ponadkilometrowa czeluść tuż pod stopami. Trzeba po prostu stanąć na brzegu Kanionu i zmierzyć się z jego ogromem.

Podobno jest kilka rodzajów lęku wysokości. Niektórzy nie wsiądą do windy, inni nie wejdą na drabinę. Są jednak tacy, których lęk wysokości zmusza do zrobienia „jeszcze jednego kroku”. Tak podobno dzieje się w Wielkim Kanionie, gdzie wiele osób straciło życie wskutek nagłego impulsu...

Ponadto zmienne warunki pogodowe w kanionie potrafią zdezorientować i powalić nawet najsprawniejszego wędrowca, dlatego zawsze w pogotowiu czeka kilka mułów, nieocenionych na bezdrożach Wielkiej Dziury.



ZAPORA ZA ROGIEM

Tama Glen w dolnym biegu Kolorado. Jej wybudowanie spowodowało zatopienie 91 innych kanionów położonych powyżej zapory.



FOT. ROBERT SZWICZYK

KAMIENNY PARK

Rozgrzane, skalne labirynty w Parku Narodowym Arches mogą stanowić niebezpieczną pułapkę dla niedoświadczonych turysty.

Spływ łodziami od wejścia rzeki w Kanion na wschodzie do jej wyjścia na zachodzie, gdzieś za Las Vegas, trwa trzy tygodnie. Na długości 450 km rzeka rozdarła ziemię, dzieląc płaskowyż na dwie części: północną Kaibab i południową Coconino. Między północną krawędzią, bardziej dziką i zimną, a południową, ciut bardziej obłaskawioną, jest lotem ptaka (kruka, sokoła, kondora) nie więcej niż 30 km. Przejść w poprzek – wyłącznie pieszo! – jak najbardziej można. Trzeba tylko doliczyć różnice wysokości i temperatur: im głębiej ku rzece, tym

jest goręcej – ten wąwóz jest wrotami do rozpalonego wnętrza ziemi. Jedyne dwa mosty spinające brzozy rzeki wewnątrz Kanionu dzielą od siebie zaledwie 2 kilometry.

ZROZUMIEĆ NAWAJO

Szerokie pogranicze północnej Arizony i południowego Utah stanowi zachodnią część ziemi Navajo, półautonomicznego i największego w USA obszaru, będącego pod jurysdykcją Indian, a rozciągającego się aż do północno-zachodniej części Nowego Meksyku. Navajo to jednocześnie największa i najzamożniejsza grupa Indian w USA. Od korporacji górniczych i energetycznych biorą opłaty za eksploatację ich ziemi, a od turystów myto za jej zwiedzanie. Mają własny dwustopniowy samorząd, wybierają bezpośrednio wodza swojego szczepu i wodza całego plemienia Navajo. Oczywiście prezydenta USA też wybierają. Pomimo tych względnych korzyści jest to wciąż grupa ekonomicznie upośledzona w skali kraju, podobnie jak wszystkie inne żyjące w rezerwach ludy tubyl-



FOT. ROBERT SZEWCIK

cze. Duże grupy starają się utrzymać z rękodzieła. Oferują ręcznie tkane kilimy, biżuterię (głównie turkus, srebro i miedź) czy ceramikę. A i tak w najuboższych obszarach bezrobocie dotyka 80 procent społeczeństwa.

Ziemia Navajo to kraina pustyni i skał. Stąd tak wiele nazw miejsc na tym terenie ma w sobie pierwiastek tsé: w języku Navajo to właśnie „skała”. Tsé Bighánílní to „miejsce, gdzie woda płynie przez skały”, czyli słynny Kanion Antylopy. Ikona Dzikiego Zachodu i westernów Johna Forda, Monument Valley w języku mieszkańców tych ziem to Tsé Bii' Ndzisgaii, czyli „dolina skał”. Tséyi czyli „wewnątrz skały” to z kolei Kanion de Chelly (wym.: d'szei), którego „nasza” nazwa jest właśnie fonetycznym odpowiednikiem Navajo. O tym, że nieznaną języka Navajo szkodzi, przekonali się boleśnie Japończycy w czasie wojny na Pacyfiku. W żaden sposób nie mogli złamać amerykańskiego szyfru – a szyfrantami byli właśnie Navajo kodyujący meldunki we własnym narzeczu.

INDIAŃSKIE TERMOPILE

Kanion de Chelly, miejsce ostatniej wielkiej bitwy Navajo o wolność, był jeszcze przed ich przybyciem jednym z siedlisk dawnego, zaginionego ludu Anasazi. Pozostawił on po sobie ruiny Pueblos, zresztą nie wpisane w szczeliny ścian kanionu. Dzieje Anasazi ukryte są w przeszłości. Materialne pozostałości ich kultury nie dają odpowiedzi na pytanie dokąd odeszli i czemu porzucili swe domy.

De Chelly położony jest na uboczu głównych szlaków turystycznych, a sąsiedztwo bardziej po-

ODPOWIEDŹ ZNA WIATR

Pozostaje tajemnicą, dlaczego i dokąd odeszli Anasazi, dawni mieszkańcy tych domostw w kanionie De Chelly.



FOT. ROBERT SZEWCIK

KAMIENNA PUŁAPKA

Podczas gwałtownej powodzi w 1997 roku w szczelinowym Kanionie Antylopy zginęło 11 osób. Od tej pory można go zwiedzać tylko z przewodnikiem Navajo.





FOT. ROBERT SZCZYZK

polarnych miejsc, takich jak Monument Valley czy Four Corners, ściągających turystów, daje możliwość niemal samotnego błędania się wzdłuż jego krawędzi. Wejście do zamieszkałego wciąż kanionu jest możliwe wyłącznie z lokalnymi przewodnikami mi Navajo.

ZIARNKO PO ZIARNKU

Zjawiskowe formacje skalne tworzące spektakularne widoki towarzyszą rzece Kolorado i jej dopływom na całej długości. Rzeką Virgin zasilającą Kolorado od północy uformowała malowniczy kanion Zion (Syjon), nazwany tak przez mormońskich osadników, którzy w XIX wieku byli pionierami osadnictwa w południowym Utah. Rzeką Green, również północny dopływ Kolorado, wyrzeźbiła rozległe obszary obecnego parku Canyonlands. W sąsiedztwie tego parku, w okolicy miasteczka Moab, znajduje się jedno z najbardziej niezwykłych miejsc południowego zachodu USA: Park Narodowy Arches.

Trudno uwierzyć, że fantastyczne skalne kompozycje są wyłącznie dziełem dziesiątek milionów lat erozji; za bardziej wiarygodnego twórcę łatwo uznać umiejętnie ulokowany dynamit. Ale to wiatr, deszcz i lód pastwiły się nad skalnym przekładaniem. Zabierały ziarnko po ziarnku pokłady

bardziej podatnych na wietrzenie solnych osadów. Pozostały łuki, portale, kolumny i ściany z piaskowca. Zagęszczenie tych tworów na obszarze parku jest przeogromne. Samych łuków – zarówno tych pełnych, jak i tych już powalonych – naliczono ponad dwa tysiące. Ewolucja tego miejsca trwa. Natura swoimi siłami nieustannie tworzy – i niszczy to fascynujące miejsce.

CIĄGLE DZIKI KRAJ

Nawet dość długa wyprawa nie pozwoli na zawitanie do wszystkich zakątków przebogatej, wspaniałej i bardzo różnorodnej krainy jaką jest amerykański południowy zachód. Te tereny to nie tylko fantastyczne formacje skalne i rozpalone pustynie. To również gęste lasy zdominowane przez żółtą sosnę ponderosa na wyżynach Arizony i osikę w południowym Utah. To baśniowe wodospady Havasupai, do których trzeba dojść trzynaście kilometrów pieszo, przez skalistą pustynię. To wielkie, tak charakterystyczne dla krajobrazu południowej Arizony, kaktusy saguaro. To porzucone górnicze osady, opuszczone, gdy wyczerpały się niewielkie lokalne pokłady minerałów. To wiele, wiele miejsc, gdzie wciąż można poczuć atmosferę dawnego Dzikiego Zachodu. Warto ich poszukać. ○

GEOLOGICZNY PRZEKŁADANIEC

Wielki Kanion Kolorado. Schodząc na dno, mijamy dwa miliardy lat odcisniętych w skałach.

UŁAN BATOR



Rafał Ostrowski

MIASTO CZERWONYCH BOHATERÓW



FOT. RAFAŁ OSTROWSKI



W 1924 r. mongolski Sejm Ludowy zmienił nazwę stolicy na Ułan Bator – Czerwony Bohater. Choć krwawe rządy komunistów odeszły w przeszłość, z pomników wciąż pozdrawiają mieszkańców bohaterowie rewolucji i chyba nikt nie myśli o zmianie nazwy stolicy.

W centrum Ułan Bator znajduje się plac Süchbaatara. Jest to popularne miejsce spotkań ułanbatorczyków, a przy tym główny punkt orientacyjny turystów szukających swoich ścieżek w obcym mieście. Süchbaatar był wodzem rewolucji ludowej z 1921 r., która na kilkadziesiąt lat zaprowadziła w krainie stepów krwawy terror. „Byłoby dla nas bardzo korzystne, gdybyśmy zdołali zabić tak wielu, jak tylko będzie możliwe, przedstawicieli okrutnego kleru i kapitalistów” – napisał w 1921 r. Włodzimierz Lenin do Politbiura w związku z rozruchami w rosyjskim mieście Szuja. Radził, żeby nie wypuścić z ręki wysmienitej okazji, jaką stwarzał bunt i by utopić to powstanie we krwi nieprzyjaciół. Ta sama myśl przyświecała bolszewickim włodarzom Mongolii, którzy odmówili prawa do istnienia całym klasom społecznym. Codziennością stały się brutalne przesłuchania, zesłania do obozów pracy i egzekucje.



BUDDYJSKIE KAPLICZKI

Stupy – stożkowate relikwiarze tybetańskiego buddyzmu – pełnią podobną rolę, co nasze przydrożne kapliczki. Spotyka się je w całym kraju. Tam, gdzie brakuje materiałów, najwyczajniej usypuje się kopiec z kamieni (zwany owo).

FOT. BARAŁ OSTROWSKI



FOT. BARAŁ OSTROWSKI

POWRÓT BUDDY

Pozłacany posąg Buddy odbudowany został w 1996 r. z datków pochodzących z Japonii i Tajlandii. Poprzedni pomnik komunistki wywieźli w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Podobno został przetopiony na pociski artyleryjskie.

Mongolscy historycy nazywają ten okres wielką czystką lub wielkim terrorem. Przed rewolucją ludową w Mongolii liczba buddyjskich zakonników sięgała blisko 100 tys. Wielu z nich zostało zgładzonych, a część zmuszono do wyrzeczenia się religii. Klasztory obrócono w zgliszcza. Akcja była tak skuteczna, że w 1944 r., kiedy Mongolię odwiedził wiceprezydent USA Henry Wallace i chciał zobaczyć klasztor buddyjski, trudno było władzom znaleźć choć jeden nadający się do pokazania.

Otwarto wówczas klasztor Gandan w Ułan Bator. Pełnił on rolę czysto propagandową aż do 1990 r., kiedy wraz z wolnością polityczną buddyzm tybetański zaczął się wreszcie cieszyć autentyczną przychylnością władz. Dziś w klasztorze mieszka kilkuset mnichów. Najlepiej zwiedzać to miejsce w porze porannych liturgii (sprzedawane są bilety wstępu uprawniające do wejścia na jego teren). Główną atrakcją klasztoru jest wielki miedziany budda (26 m wys.). Został niedawno odbudowany, dzięki zagranicznym datkom, w miejsce posągu zniszczonego w latach 30. przez komunistów.

Mimo zmiany kursu politycznego mieszkańcy



Ułan Bator nie rwą się do obalania symboli. Nazwiska rewolucjonistów znaleźć można w nazwach ulic i na niejednym pomniku. Kilkaset metrów na wschód od placu Süchbaatara, przy Alei Pokoju, czyli przy głównej ulicy miasta, stoi okazały pomnik Lenina.

PARADA BOHATERÓW

Pośrodku placu Süchbaatara stoi jego pomnik. Jak przystało na prawdziwego Mongoła, Süchbaatar dosiada wierzchowca. Pomnik postawiono w miejscu, w którym koń Suchbaatara oddał mocz podczas uroczystości państwowych w 1921 r. To, co może dziwić w Europie, w Mongolii nie budzi emocji; związani z naturą i zwierzętami Mongołowie wzięli ową czynność fizjologiczną za dobrą monetę.

Süchbaatar umarł młodo, w wieku 30 lat, prawdopodobnie otruty przez swoich kamratów – rewolucja pożarła własne dziecko. Ponieważ jednak nie mniej niż krwi, potrzebowała ona symboli, Süchbaatara okrzyknięto „mongolskim Leninem”

i zawieszono jego podobiznę w każdej mongolskiej szkole. Wdrażaniem komunizmu zajęli się jego następcy. Przede wszystkim Czoybalsan, zwany z kolei „Stalinem mongolskich stępów”.

Zabalsamowane zwłoki Süchbaatara i Czoybalsana jeszcze do 2005 r. spoczywały w mauzoleum przed gmachem parlamentu. Tu faktycznie nastąpiła już symboliczna zmiana warty. Sześć lat temu mauzoleum usunięto, żeby zrobić miejsce dla posągu Czyngis-chana, który wzniesiono w 800-lecie mongolskiej państwowości. Wielki wódz władczo spogląda ze schodów parlamentu. Ukochany przez Mongołów, długo nie mógł doczekać się należnego mu szacunku. Pamięć o nim była tępiona przez 70 lat komunistycznych rządów. Rosjanie bali się narodowej dumy Mongołów.

POWRÓT CHANA

Przez wiele lat historii zwycięstw Czyngis-chana opowiadano w jurtach na stepie – w domowym gronie, tylko wtedy, gdy wiadomo było, że wśród zebranych nie ma donosicieli. Kiedy nastąpiła wol-

WIERNY JAK BORCZI

Gmachu parlamentu strzeże jeździec. To Borczi – zaufany sługa Czyngis-chana. Napisana w średniowieczu historia Mongołów przedstawia go jako wzór wierności. Kiedy spadł ulewny deszcz, Borczi wytrwale trzymał nad głową śpiącego wodza ciężkie przykrycie z owczej wełny i przez całą noc ani na chwilę nie zmienił pozycji.



FOT RAFAŁ OSTROWSKI

GIĘTKA SZTUKA

Kontorcjonistki – kobiety o kręgosłupach z gumy, sławiły Mongolię już za panowania Czyngis Chana. W tym balecie adeptki rozpoczynają surowy trening w wieku kilku lat. Ich kariera nie trwa dłużej niż do osiemnastego roku życia.

ność, uczucie do wielkiego Mongoła wybuchło z nieopohamowaną siłą. Podobizny Czyngis-chana widać w Ułan Bator na każdym kroku – widnieją w szyldach pubów i restauracji, na billboardach, na niezliczonych suvenirach i na banknotach. Imię chana ma oczywistą wartość marketingową – nawet najpopularniejsze piwo w kraju nazywa się Chinggis.

Najbardziej efektowny pomnik Czyngis-chana znajduje się godzinę jazdy samochodem na wschód od Ułan Bator. Zbudowany został na dachu restauracji pośrodku stepu i ma 40 metrów wysokości. Na szyi wierzchowca utworzono taras widokowy. Warto odwiedzić to miejsce przy okazji zwiedzania parku narodowego Tereldź. Na miejscu można wynająć konia: podobno kto choć raz nie galopował po stepie, nie powinien twierdzić, że był w Mongolii. Ci, którzy chcą zostać dłużej, powinni zanocewać w jurcie w jednym z komercyjnych gere camps, których jest w tym rejonie mnóstwo.

KIBICOWAĆ Z KOCZOWNIKAMI

Nocne kluby z mongolskim hip-hopem czy transem powinny zaciekawiać młodych turystów. Nie wolno jednak pozwolić, aby odbyło się to kosztem wizyty w teatrze. Występy zespołów ludowych,



Sebastian Zadrożny,
zastępca dyrektora
Biura Ubezpieczeń
Indywidualnych,
Ergo Hestia

Każda osoba wybierająca się w podróż, niezależnie czy daleką, czy bliską, powinna pomyśleć nie tylko o odpowiednim ekwipunku, ale również o ubezpieczeniu. Nie warto wychodzić z założenia, że „mnie się nic nie zdarzy, zawsze jeździłem bez ubezpieczenia i zawsze wracałem bez szwanku”. Tym bardziej, gdy wybieramy się w odległy dla nas zakątek świata, jakim jest Mongolia.

Przy wyborze odpowiedniej polisy turystycznej powinniśmy zwrócić uwagę na dostępne warianty ubezpieczenia i zakres oferowanej przez towarzystwo ochrony. Jeśli naszym celem podróży jest Mongolia warto sprawdzić między innymi, czy ochroną ubezpieczeniową są objęte koszty leczenia i następstwa nieszczęśliwych wypadków związane z dodatkowym ryzykiem, jak na przykład uprawianie jazdy konnej czy wspinaczki górskiej. Warto również zwrócić uwagę, czy w ramach polisy możemy liczyć na zwrot kosztów transportu do odległej placówki medycznej. W Mongolii bowiem dostanie się do głównych ośrodków miejskich, a tylko w nich istnieją placówki medyczne, może nam zabrać dużo czasu. Pomocy lekarza możemy również potrzebować po wypiciu nieprzeżegotowanej wody i spożyciu niektórych produktów regionalnych. Inną kwestią, na którą warto zwrócić uwagę, jest ochrona naszego bagażu, który może zniszczyć się bądź zgubić. Ma to szczególne znaczenie w przypadku, gdy nasza wizyta w Mongolii ma znamiona wyprawy i będziemy często zmieniać miejsce pobytu.

FOT SHUTTERSTOCK

a w szczególności fantastyczne gardłowe śpiewy Mongołów to kuriozum – warto poświęcić wieczór na zobaczenie przedstawienia. Tajemnica śpiewaków polega na długich ćwiczeniach, które pozwalają uruchomić dotąd „uśpione” struny głosowe. O istnieniu takowych przeciętny śmiertelnik nawet nie wie.

Z kolei kontorcjonistki – doskonale wygimnastykowane dziewczyny, które od dzieciństwa każdego dnia rozciągają swoje mięśnie i kości – potrafią tak wygiąć kręgosłup, że co bardziej empatyczni widzowie czują ból w krzyżu.

Ze wszystkich tradycyjnych mongolskich widowisk najświetniejsze jest sportowe święto Naadam. Odbywa się w lipcu w całym kraju, ale w Ułan Bator ma swój wielki finał. Do stolicy ściągają tłumy widzów i liczni uczestnicy zawodów. Zdarza się zobaczyć galopującego ulicami wśród samochodów jeźdźca, który najwyraźniej zgubił się w wielkim mieście. W czasie zawodów większość Mongołów zasiada przed telewizorami – lokalne święto skupia w tym kraju większą uwagę niż jakakolwiek światowa impreza sportowa, włącznie z olimpiadą. Dyscypliny są trzy: zapasy, łucznictwo i wyścigi konne.

Choć sercem wydarzeń jest arena sportowa w centrum Ułan Bator, szczególnie polecam to, co dzieje się pod miastem w pobliżu mety wyścigów konnych. Na bezkresnym stepie powstaje miasteczko namiotów. Kibice zamieniają się w koczowników. Liczne namioty zamieniają się w bary szybkiej obsługi i serwują tradycyjne mongolskie huszury – pierogi z mięsem – i ajrak, czyli sfermentowane kobyle mleko. Obcokrajowcy całkiem gubią się w mongolskim tłumie. Po dniu czy dwóch picia niskoprocentowego ajraku zaczyna im się wydawać (o czym mogę zaświadczyć), że płynnie posługują się lokalnym dialektem i to nawet bez obcego akcentu.

Gdy nad namiotami zachodzi słońce step jest najbardziej romantycznym miejscem na świecie. Jeszcze 150 lat temu samo Ułan Bator było ledwie obozem jurty „koczujących” nad brzegami rzeki Tul. Nawet Bogd-chan – duchowy i świecki przywódca Mongołów – mieszkał w jurcie. Dopiero w 1855 r. zaczęto stawiać całoroczne budynki.

WYZWANIA DLA MONGOŁA

Łucznictwo, wyścigi konne i zapasy to najważniejsze sporty narodowe Mongołów. Mistrzowie zapasów w dorocznych ogólnokrajowych zawodach zostają bohaterami narodowymi.



FOT. RAFAŁ OSTROWSKI



FOT. W. W. W.



FOT. RAFAŁ OSTROWSKI

CITY Z MIEDZI I ŻŁOTA

Dziś oblicze stolicy zmieniają nowo powstające centra finansowe. Mongolia bogata jest między innymi w miedź i złoto.



FOT. RAFAŁ OSTROWSKI



FOT. RAFAŁ OSTROWSKI

STARE BLIZNY I ŚWIEŻE RANY

Choć stolica Mongolii rozbudowuje się dynamicznie, turyści z reguły nie wypowiadają się pochlebnie o urodzie tej metropolii. Karkołomny eklektyzm stylów, stare sąsiaduje z nowym, bogate z biednym, czyste z brudnym. Zaniedbane, nietynkowane blokowiska z lat 70. wznoszą się na kilkanaście pięter nad pojedynczymi małymi jurtami. Do tego nowe szklane biurowce w centrum. Ten zbiór różnaitości tworzy trudny melanż. Rewolucja wyburzyła niemal wszystko, co wcześniej było wartościowe, przyczyniła się do powstania potężnych blizn w miejskim krajobrazie.

Wrażenie bałaganu potęguje wiatr. Zimą mroźny znad Syberii, latem porywisty i ciepły, nagrany przez pustynię Gobi. Przywiewa on pył ze stepu i śmieci z miejskich slumsów. Dzielnice jurt, w których przycupnęła mongolska bieda nie są sprzątane. Po rozpadzie bloku wschodniego Mongolia, która przez lata była źródłem surowców dla ZSRR, teraz po upadku centralnie sterowanej gospodarki, znalazła się w opałach. Na skutek kryzysu ekonomicznego wielu ludzi straciło pracę. Powtarzające się co kilka lat w Mongolii susze i klęski mrozu, dopełniły dzieła zniszczenia. Wielu pasterzy potraciło stada i przeniosło się do miast. Niewydolny system opieki społecznej nie był w stanie im pomóc, a słaba gospodarka nie zapewniła im pracy. Pozbawieni perspektyw bezrobotni pasterze nie rozumieją przyczyn swej niedoli. Niejeden wychowany w poprzedniej epoce obywatel Mongolii mieszkający na obrzeżach Ułan Bator w jurcie bez prądu i bieżącej wody, widząc rozświetlone nocą wieżowce w centrum, czuje się zagubiony. Zaczyna wspominać komunizm jako system równości społecznej. A gdy przyjeżdża do miasta ze czcią patrzy na pomniki bohaterów rewolucji. ○

Rafał Ostrowski – redaktor, dziennikarz. W Mongolii spędził rok. Przez większość czasu był nauczycielem w szkole salezjańskiej w Ułan Bator.

W Mongolii najbardziej fascynujący jest step. Ogromne przestrzenie, czasem górzyste, czasem płaskie jak stół. Choćby wokół nie było żywej duszy, step nie wydaje się być pusty. Tutaj trudno wyzbyć się oczekiwania, że zaraz, za kolejnym wzniesieniem, w zasięgu wzroku pojawi się samotna jurta albo stado owiec lub cwałujący jeździec. W animistycznych wierzeniach pasterzy step jest pełen duchów i nadnaturalnych mocy. Koczownicy bardzo starają się, aby nie narazić się tym duchom i zjednać sobie ich łaskawość. Życie pasterzy z pozoru proste, bo przecież wypełnione niemal bez reszty pracą, normowane jest przez tradycję i tysiące odwiecznych zwyczajów dotyczących m.in. rozpalania ognia, umieszczania sprzętów w jurcie (w każdej ustawione są tak samo), trzymania w ręku naczyń, a nawet tego, z której strony obchodzić słup podtrzymujący sklepienie jurty. Malownicze miejsce, gdzie ludzie wciąż żyją tak jak przed wiekami, przyciąga i fascynuje. Nic dziwnego, że z pogrążonego w miejskiej gorączce Ułan Bator większość turystów od razu ucieka na step. Stolica Mongolii to dla podróżnych przede wszystkim przystanek z lotniskiem i stacją kolei transsyberyjskiej – położoną w pół drogi między Bajkałem a Pekinem. Ale bez pobytu w Ułan Bator i przyjrzenia się jego poszarpanej zabudowie, poznania zbiorów muzeum historii czy obejrzenia eksponatów w zimowej rezydencji Bogd-chana naprawdę trudno jest zrozumieć historię tego narodu.



TYLKO WE LWOWIE

„Możliwe, że więcej ładniejszych jest miast, lecz Lwów jest jedyny na świecie! I z niego wyjechać, to gdzież ja bym mógł! Ta mamciu, to skąż mnie Bóg!” – starzy Lwowiacy wciąż jeszcze tak śpiewają.

Jędrzej Majka

PRZEPIS NA LWÓW

Z miastem tym jest jak z barszczem ukraińskim. By poznać pełnię smaku, trzeba jeść powoli, rozpoznać i rozsmakować się we wszystkich jego składnikach. I tak jak nie da się szybko ugotować dobrego barszczu, tak samo nie da się poznać Lwowa podczas krótkich odwiedzin. Sfotografowanie się na tle trzech katedr, opery czy pomnika Mickiewicza to za mało. We Lwowie trzeba się zadomowić.



– *To nie ma sensu* – odpowiadam każdemu, kto prosi mnie o wyznaczenie jednodniowej trasy po Lwowie. Wciąż słyszę, że ktoś będzie tam przejazdem, w drodze do Kijowa, Kamieńca czy na Krym i chce poznać prawdziwy Lwów. – *Wydrukowałem z internetu taki program „Lwów w 24h”, zobacz i powiedz, co o tym sądzisz* – usłyszałem po raz kolejny kilka dni temu. I znów odpowiedziałem: *Lwowa w ten sposób nie poznasz. Moja rada jest prosta: – Usiądź w pierwszej napotkanej kawiarni i patrz. Lwów sam do ciebie przyjdzie.*

HISTORIA W KAŻDEJ BRAMIE

Mam we Lwowie kilka ulubionych kawiarni. Szczególnie lubię te przy ulicy Ormiańskiej. Jeśli tylko pozwala na to pogoda, wybieram stolik na zewnątrz. Siadam i patrzę, popijając kawę parzoną w tygielku na sposób wschodni. Najchętniej wspominam opowieści Lesi Kokoszyńskiej – znajomej Ormianki. Na początku 1945 roku pracowała ze swoją kuzynką w kiosku przy ulicy Bajki. Sprzedawały papierosy i słodycze. Pewnego razu przyszedł

pijany żołnierz radziecki. Zażądał, by Lesia zgoliła wąsik, bo mu się nie podoba.

– *Jak jutro przyjdę, wąsów ma nie być. Inaczej zastrzelę* – wrzasnął rozkazująco.

Kuzynka całą noc nie spała, błagała, by Lesia pozbyła się wąsika. Ona zaś uparcie powtarzała, że jest prawdziwą Ormianką. Też się bała, ale wąsika nie zgoliła. Żołnierz na szczęście wytrzeźwiał...

Kilka dni później szła centrum Lwowa, w kierunku Teatru Wielkiego. W pewnym momencie zauważyła, że idzie za nią radziecki oficer. Kiedy przyspieszyła, on także. Ponieważ stale żyła w strachu, zaczęła uciekać. On ruszył za nią. W końcu dobiegła do kamienicy, w której mieszkała jej przyjaciółka. Oficer dogonił ją na półpiętrze. Odwróciła się. Zobaczyła czarne oczy i siwą baranią czapę.

– *Izwinicie, wy Polka?* – spytał.

– *Polka* – odpowiedziała.

– *A ja dumam, szto wy Armianka* – westchnął rozczarowany.

To był Ormianin w radzieckim mundurze.



ZNIKAJĄCE ŚLADY

Pod tynkiem na murze widać resztki starego szyldu, a na Cmentarzu Łyczakowskim pozostały tysiące zabytkowych polskich nagrobków.

SENSACJA NA TYDZIEŃ PRZED WOJNĄ

– *Narciarstwo to Wysoki Zamek* – opowiadał mi przed laty Kazimierz Górski. – *Po stokach góry zjeżdżało się na nartach, a właściwie na czymkolwiek. Często jeżdżono piętnaście kilometrów za Lwów. W pobliskich Brzuchowicach była skocznia. Latem jednak całe ulice grały w piłkę. Były to dziesiątki niezrzeszonych drużyn, które ze sobą rywalizowały. Niemal każda ulica miała swoją.*

Ojciec Kazimierza Górskiego był kolejarem. Nikt nie przypuszczał, że chłopak, zamiast pójść w ślady ojca będzie biegał po boisku. Mieszkali przy Gródeckiej. Matka, ojciec, dwóch synów i cztery córki. – *Wczesną wiosną boiska przypominały bagna. Chłopcy taplali się w błotnistych dziurach* – wspominał Kazimierz Górski – *Nogi wraz z butami znikają w błocie. Gdyby któryś z chłopców wrócił do domu z butami w takim stanie, skończyłoby się to wielkim laniem.* Dlatego mały Kazik, zwany na boisku Sarenką, przed wyjściem z domu potajemnie zabierał szczotkę i pastę. Wracając, przykucał w wiel-

kiej bramie i oddawał się rytuałowi czyszczenia. Z czasem wykorzystywał do tej pracy młodszego o dziesięć lat brata. Ten z dumą doprowadzał do porządku jego pierwsze klubowe buty.

Rzeszów. Jarosław. Przemyśl. Borysław. Drohobycz. Sambor. Stryj. Drużyny z tych miejscowości wchodziły w skład ligi okręgowej. To było coś. Przed wojną w pierwszej lidze grała tylko „Pogoń Lwów”. To właśnie we Lwowie, w czasach zaboru austriackiego, powstały pierwsze polskie kluby. W 1904 roku narodzili się „Czarni Lwów”, a rok później – „Pogoń”. Ostatni mecz przed wojną Kazimierz Górski zagrał w czerwcu. Sezon zbliżał się do końca. Nikt nie przypuszczał, że nowy, we wrześniu, już się nie rozpocznie.

– *Jeszcze tydzień przed wybuchem wojny w Warszawie odbywał się ważny mecz* – opowiadał Kazimierz Górski. – *Polska grała z Węgrami. Węgrzy byli wówczas mistrzami Europy. Polacy zaś, choć mieli dobre wyniki, nie należeli do czołówki. Siedziałem z uchem przyłożonym do odbiornika. Polska wygrała 4:2. To była sensacja. Sensacja na tydzień przed wojną.*

POD JEJ OPIEKĘ

Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. To w tej świątyni król Jan Kazimierz, wracając do zniszczonego przez Szwedów kraju, złożył w 1656 roku słynne śluby, powierzając Polskę opiece Matki Bożej, którą ogłosił także Królową Korony Polskiej.



NA POCZĄTKU BYŁ LWÓW

Lwów. Lwiw. Leopoldis. Lemberg. Tak brzmi nazwa tego miasta w różnych językach.

Założone zostało przez księcia Daniela Halickiego z rodu Rurykowiczów i nazwane na cześć syna książęcego Lwa. Książę Lew zarządzał tą ziemią już w roku 1250. Z tego czasu pochodzi herb miasta – lew strzegący bramy. Lwów szybko stał się miastem wielu narodów i wyznań. Kazimierz Wielki, po przyłączeniu Rusi Halickiej do Polski, przyjął do miasta ówczesnych osadników. Poza Polakami mieszkali tu Rusini, Niemcy, Ormianie, Włosi, Wołosi, Grecy, Węgrzy, Tatarzy, Żydzi i Karaimowie.

I choć wielki pożar w 1527 roku zniszczył całą gotycką część Lwowa, to właśnie na początku XVI wieku stał się on jednym z najbogatszych miast Europy. Po upływie stu lat, na skutek licznych najazdów, oblężeń, pożarów i epidemii, zaczął

re ostatecznie zostało w granicach niepodległej Polski. Wrzesień 1939 roku przyniósł okupację radziecką. I tak skończył się sześciowiekowy związek Lwowa z Polską. Od 1941 po 1945 rok Lwów znajdował się pod okupacją niemiecką. Po wojnie mieszkańcy, niezależnie od narodowości, stali się obywatelami radzieckimi, a większość Polaków musiała opuścić swoje miasto.



FOT. JEDRZEJ MAJKA

Herb Lwowa na kamienicy przy ulicy Starożydowskiej.

LWOWA NIGDY NIE OPUSZCZĘ

– *Hałas był nie do wytrzymania* – opowiada Lesia Kokoszyńska. – *Dwóch stolarzy od rana do wieczora zbijają drewniane skrzynie. Była to inwestycja szalenie droga, ale konieczna. W tych dniach stolarz*



FOT. JEDRZEJ MAJKA

KOLA ZE SŁONECZNIKIEM
Handel uliczny ciągle jeszcze opiera się wielkim koncernom.

się okres stopniowego upadku. Zaraza morowa, która wybuchła w 1623 roku, pozbawiła życia dziesięć tysięcy lwowian.

Po pierwszych rozbiorach Lwów stał się stolicą Królestwa Galicji i Lodomerii, części monarchii austriackiej. Druga połowa XIX wieku to kolejny złoty wiek miasta. Wówczas powstał monumentalny Teatr Miejski, gmach Sejmu Galicyjskiego, Muzeum Przemysłu, kościół św. Elżbiety, dworzec kolejowy. Oświetlane latarniami miasto miało już wodociągi i tramwaje.

Po upadku Austro-Węgier w 1918 roku we Lwowie rozpoczęły się walki pomiędzy Ukraińcami i Polakami o przynależność miasta, któ-

był najbardziej poszukiwanym i cenionym zawodem świata. Ważniejszym od lekarza. Była druga połowa czerwca 1946 roku. Przedostatni transport Polaków ze Lwowa. – Pierwsza myśl była dość przerażająca. Ostatnie chwile we Lwowie – dodaje. Ostatnie godziny w mieście, w którym się urodziła, wychowała, spędziła całe życie. Kilka dni wcześniej świętowała 31 urodziny.

– *Ponieważ każdy mebel musiał być zapakowany w odpowiednią skrzynię, do ostatniej niemal chwili w domu pracowali stolarze. Kiedy przybijali ostatnie gwoździe, pod drzwi kamienicy zajechał wóz. Rozpoczęło się wynoszenie wielkich i ciężkich skrzyń – wspomina.*



BOOKINISTKI

Nie może być lepszego miejsca na spotkanie z książką jak tylko przy pomniku Iwana Fedorowa, żyjącego w XVI wieku, pierwszego w Rusi drukarza znanego z imienia i nazwiska.

Matka Lesi była zawziętą lwowianką. Tak zawziętą, że przed ślubem zmusiła przyszłego męża, by dał słowo honoru, że Lwowa nigdy nie opuszcza. A były to czasy, kiedy dotrzymywało się danego słowa. I kiedy później ojciec Lesi dostawał propozycje lepszych posad w Warszawie czy Krakowie, o obietnicy pamiętał.

Gdy po mieście zaczęły krążyć pogłoski, że Lwów przestanie być polski, matka stwierdziła, że nie ma już po co zostawać. Ojciec się jednak upierał. Wtórowali mu Lesia z mężem. Krytykowali ludzi, którzy jako pierwsi wyjeżdżali. Żyli nadzieją, że może zostanie ogłoszony plebiscyt. Nie został. I wyjechali.

LWÓW PILNIE POSZUKIWANY

Po upadku ZSRR w 1991 roku powstała niepodległa Ukraina, a Lwów szybko stał się centrum myśli niepodległościowej nowego państwa. Otwarcie granic ożywiło ruch turystyczny. Z czasem w polskich księgarniach pojawiło się sporo książek o Lwowie, przewodników, opowieści rodzinnych i map. Ta zmiana była widoczna, bo jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych na temat Lwowa nie było żadnych publikacji. Polacy zwiedzali go z przewodnikami z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Z czasem wytworzyła się istna moda na Lwów. Posiadanie prawdziwych lwowskich korzeni stało się atutem nie tylko dla Polaków, ale także dla Ukraińców. Jednym z dzisiejszych mieszkańców Lwowa jest Jurko Prochaśko, tłumacz literatury polskiej i niemieckiej na język ukraiński. Prochaśko pierwszą połowę życia spędził w Iwano-Frankiwsku, dawnym Stanisławowie, gdzie się urodził. – *Kiedyś, w moim dzieciństwie – pisze w eseju „Lwowskie epifanie” – za absolutną konieczność uważano wybranie się przynajmniej raz w roku do Lwowa – całą rodziną, z kimś bliskim*

albo kochanym, a w najgorszym razie samotnie. Pamiętam moją ulubioną, znacznie starszą kuzynkę, która zimą, w obcisłych dżinsach, w towarzystwie kilku aktualnych kawalerów-konkurentów, wybierała się do Lwowa: do barów, dancinów i światel wielkiego miasta, słowem, do tego, czym u nas nawet nie pachniało. Któż wie, czy nieprosty wybór kuzynki nie miał zależeć od tego, jak zachowają się ci chłopcy we Lwowie? Czy nie miała ta wyprawa być testem ich metropolitalności?

O dzisiejszym Lwowie mówi się, że stracił dawną świetność. Że stracił na znaczeniu. Że to już nie jest tamten Lwów. To prawda. Współczesny Lwów nie jest tym z początku szesnastego wieku, ani tym z czasów dwudziestolecia międzywojennego. Dzisiejszy Lwów jest po prostu dzisiejszy. Ktoś kiedyś powiedział, że najpierw ludzie budują miasto, a potem miasto buduje ludzi. Lubię bardzo to powiedzenie. Lwów dzisiaj ma nowych mieszkańców, którzy powoli się go uczą. – *Stały epitet dzisiejszego Lwowa to „ładny, ale zaniedbany” – pisze mieszkająca we Lwowie pisarska Natalka Śniadanko – i to „ale” przywodzi na myśl tysiącego mężczyznę, który wciąż jeszcze nie może pogodzić się z nieodwracalnym i każdego ranka starannie zaczesuje na czoło pozostałości dawnej czupryny. Właśnie tak wyglądają pojedyncze odrestaurowane i nieodrestaurowane kamienice w śródmieściu, łaty naprawionego bruku i nierówne plamy asfaltu.*

Siedząc nad talerzem barszczu ukraińskiego, pod słuchuję rozmowę przy sąsiednim stoliku. Studenci z pobliskiego uniwersytetu dyskutują o tanich połączeniach lotniczych. Planują podróże do modnych stolic europejskich. Marzą o Paryżu, Rzymie, Berlinie. A ja z każdą kolejną łyżką barszczu mam coraz większą pewność, że przy najbliższej okazji znów wrócę do Lwowa. Na Ormiańskiej wypiję kolejną kawę. Powspominał dawni Lwów i na nowo zachwyć się tym dzisiejszym. ○

Jędrzej Majka – z wykształcenia teolog i dziennikarz, z zamiłowania podróżnik. Zawsze zabiera ze sobą aparat fotograficzny. Ulubiony kierunek: Wschód.

Autor książek: *Kresy. Śladami naszych przodków*, *Ostatni dzień Lwowa* oraz albumów fotograficznych: *Lwów*, *Trzy eseje*, *Ukraina*, *Kresy*. Ostatnio ukazała się jego książka *Pociąg do świata – zapis dwunastu podróży*.

PODRÓŻ TO SPOTKANIA Z ODMIENNOŚCIĄ...

INNE KRAJOBRAZY, ZWYCZAJE, LUDZIE – A WŚRÓD NICH, DLA PODRÓŻNYCH ŻADNYCH WIEDZY NA TEMAT ODWIEDZANYCH MIEJSC, ISTOTNE OSOBY: PRZEWODNICY. PRZEZ PRYZMAT ICH WIEDZY I WRAŻLIWOŚCI POZNAJEMY NOWE ŚWIATY, NA OGÓL NIE PAMIĘTAJĄC O TYM, ŻE DLA NICH I MY JESTEŚMY ŹRÓDŁEM INFORMACJI. WYDAŁO NAM SIĘ CIEKAWIE DOWIEDZIEĆ SIĘ OD PRZEWODNIKÓW Z RÓŻNYCH STRON ŚWIATA, JAKIE MIELI DOŚWIADCZENIA Z TURYSTAMI.

Z jakich krajów pochodzą turyści, których najczęściej prowadzasz?

Przede wszystkim są to Amerykanie, często Niemcy, Francuzi, Holendrzy. Od czasu do czasu zdarza się grupa z Polski.

Jakie wrażenie robią na Tobie ci ostatni?

Polacy wydają mi się być wyjątkowi. Są wyrozumiali wobec nieoczekiwanych sytuacji. Można powiedzieć, że łatwo się przystosowują. No i są uprzejmi. Najlepsza z grup, które dotychczas oprowadzałem była właśnie z Polski.

O co turyści pytają najczęściej?

Szczególnie są zainteresowani naszą unikalną tradycją i kulturą. Pytają często także o Koncepcję Narodowego Szczęścia Brutto (Gross National Happiness), w myśl której dla rządzących krajem ważniejsze jest szczęście duchowe i dobre samopoczucie obywateli, niż Produkt Krajowy Brutto. Wiele pytań dotyczy też dualistycznego podziału władzy – tę administracyjną sprawuje rząd, natomiast religijną najwyższy duchowny – Je Khenpo.

Czy wśród zadanych pytań znalazły się takie, które wydały ci się głupie?

Może te dotyczące gho – bhutańskiego stroju narodowego mężczyzn. Jest to rodzaj długiej sukni, więc turyści niemal zawsze pytają, czy podobnie jak Szkoci, którzy chodzą w spódnicach, nie nosimy pod spodem bielizny.

A zaskakujące zachowania turystów?

Koledze, który prowadził grupę Amerykanów zdarzyła się taka sytuacja, że kilku mężczyzn zupełnie nie uczestniczyło w zwiedzaniu. Pod koniec ich pobytu wydało się, że szczególnie zasmakowali w naparze z ziela, które u nas rośnie przy drogach, a w Stanach Zjednoczonych, wysuszone, sprzedawane jest nielegalnie.

Czy jest coś, co wyróżniłbyś w zachowaniu turystów?

Na pewno to, że uważają, aby nie śmieć. Papierki po zjedzonych cukierkach jeśli nie ma kosza, to zawsze trafiają do kieszeni.

Co bawi cię w zachowaniu turystów?

Kiedy spotykają grupę innych zwiedzających, to od razu widać, że nie są zadowoleni.

A co ich dziwi?

Zadziwia ich nasza kultura, z którą obcuje przy okazji częstych festiwali. Niemal za każdym razem słyszę jak niezwykle przyjaźni i zawsze uśmiechnięci są Bhutańczycy.

Czy twoich rodaków razi coś w zachowaniu przyjezdnych?

Tak, kiedy z ich twarzy i zachowania widać niezadowolenie lub złość. Bhutańczycy tego nie okazują. Cenimy sobie pogodę ducha i lubimy, kiedy ludzie są wobec siebie życzliwi. ○

Prakash Chhetri
PRZEWODNIK Z BHUTANU

Prowadzi agencję turystyczną
Four Season Adventure Travels.
Oprowadzaniem turystów
zajmuje się od jedenastu lat.

www.fourseasonadventure.com
Email: pbchhetri607@yahoo.com
phone no: 0097517542047/009751740185

TRÓJMIEJSKIE DROGI DO WOLNOŚCI

Katarzyna Rojek

Odwiedził mnie znajomy przewodnik z Etiopii, z którym Poznaj Świat przeprowadził wywiad w poprzednim numerze.

- Widziałem dziś w Gdańsku Fontannę Neptuna, pospacerowałem po sopockim molo i zwiedziłem w Gdyni wasz najstarszy żagłowiec. Czy mogłabyś mi jutro pokazać Drogę Wolności?
- Chyba Aleję Zwycięstwa? Tam jest niemiecki konsul, potrzebujesz wizy?
- Nie. Widziałem kiedyś taki plakat „Zaczęło się w Gdańsku, Drogi do wolności”, na którym pokazano, jak system komunistyczny runął jak kostki domina.
- Rozumiem, że chodzi ci o pokazanie naszej drogi do wolności. Umówiliśmy się następnego dnia rano pod Kościołem Mariackim.

– Ale ja już byłem w tym kościele. Wiem, że Bazylika Mariacka jest największym na świecie kościołem zbudowanym z cegły.

– To prawda. Jest też ważnym miejscem na drodze do wolności. Dlatego tu zaczynamy nasz szlak.

Proboszczem parafii Mariackiej jest ksiądz Stanisław Bogdanowicz, który w czasach PRL był oparciem dla prześladowanych ludzi opozycji. Tu modlono się w intencji więźniów politycznych. W czasie strajków proboszcz odprawiał msze w Stoczni Remontowej w Gdańsku. Przez cały okres stanu wojennego w Bazylice Mariackiej odprawiane były msze święte w intencji ojczyzny, dochodziło po nich często do demonstracji, a uciekający przed oddziałami milicji ludzie chronili się w murach świątyni.

– Wejźmy i my.

W Kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej spoczywa Maciej Płażyński, Marszałek Sejmu, pierwszy wojewoda gdański w wolnej Polsce, współzałożyciel i prezes legendarnej spółdzielni Światlik, która specjalizowała się w robotach wysokościowych. Pracowali w niej ludzie z opozycji, którzy w III RP rzeczywiście zaszli wysoko. Marszałek Płażyński zginął w katastrofie smoleńskiej, obok jego sarkofagu znajduje się pomnik ofiar tej tragedii.

– Gdzie idziemy teraz? – spytał Alem.

– Niedaleko, na ulicę Święto-

Bazylika Mariacka
ul. Podkramarska 5, Gdańsk



FOT. S. SKŁADANOWSKI



FOT. JULIA MICHAŁCZEWSKA

jańską do kościoła świętego Mikołaja, gdzie byłem ochrzczony i brałem ślub. Ale nie dlatego cię tam zabieram.

Gotycki kościół Św. Mikołaja jest jedyną świątynią w Śródmieściu ocalałą podczas II Wojny Światowej. Nie został też ograbiony przez Rosjan podczas zdobycia Gdańska w 1945r., więc dziś można podziwiać oryginalne barokowe wnętrze. W kościele działa duszpasterstwo akademickie Górka. Prowadził je niegdyś dominikanin, o. Ludwik Wiśniewski – uważany za ojca ideowego Ruchu Młodej Polski, organizacji antykomunistycznej powstałej w 1979 roku. Dla nich najważniejszą sprawą było odzyskanie niepodległości Polski, a przewodził im Aleksander Hall. W 1979 r. duszpasterzem został o. Sławomir Słoma. Ten

Bazylika św. Mikołaja
ul. Świętojańska 72, Gdańsk



FOT. JULIA MICHAŁCZEWSKA



FOT. JULIA MICHAŁCZEWSKA

charyzmatyczny kapłan gromadził wokół siebie rzesze ludzi – studentów, intelektualistów, artystów. W grudniu 1981r., kilka dni po ogłoszenia stanu wojennego w pobliżu Stoczni im. Lenina, podczas demonstracji, stojąc naprzeciwko kordonu zomowców, ojciec Sławek odprawił „mszę na dłoniach”. Duszpasterz przekazał znak pokoju otaczającym go milicjantom, stojącym naprzeciw demonstrantów.

Bazylika św. Brygidy
ul. Profesorska 17, Gdańsk



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

– *Kolejny kościół?* – Zdziwił się Alem, kiedy doszliśmy na ulicę Profesorską, pod kościół św. Brygidy. – *Polacy zawsze w ciężkich chwilach jednoczyli się w Kościele.*

Po wojnie kościół św. Brygidy był totalną ruiną, odbudowę zawdzięcza proboszczowi Henrykowi Jankowskiemu. Kościół jest parafią Stoczni Gdańskiej. Ksiądz Jankowski był kapłanem Solidarności. Podczas strajku w 1980 r. spowiadał i odprawiał Msze święte na terenie Stoczni. Przez lata wspierał też działalność opozycyjną. Przy kościele prowadził ośrodek pomocy charytatywnej. Przez wiele lat, w czasie, gdy Solidarność była zdelegalizowana, plebania pełniła rolę biura związku. Tu niemal urzędował Lech Wałęsa, a częstymi gośćmi byli m.in. Jacek Kuroń, Bronisław Geremek, Adam Michnik, Jarosław i Lech Kaczyński, a w 1988 r. z wizytą przyjechała Margaret Thatcher, premier Wielkiej Brytanii.

Opuściliśmy chłodne wnętrza świątyni i poszliśmy Podwalem Staromiejskim na Targ Drzewny, gdzie w centrum niewielkiego skweru stoi pomnik króla Jana III Sobieskiego. Pomnik wykonany został w 1897 r. we Lwowie, w 1945 r. trafił do Warszawy, a w 1965 r. do Gdańska. Na tym skwerze odbywały się manifestacje organizacji wolnościowych, Ruchu Młodej Polski i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Postument pomnika służył często przemawiającym za mównicę. Tak było też 3 maja 1980 roku, podczas manifestacji, na której przemawiali Dariusz Kozdej (plac jego imienia mieści się na przeciwko pomnika) z RMP i Tadeusz Szczudłowski z ROPCiO. Mówili o zbrodni katyńskiej i o zakłamywaniu historii przez władze PRL. Wśród blisko 3 tysięcznego tłumu słuchaczy był również Lech Wałęsa. Niedługo potem Kozdej i Szczudłowski zostali aresztowani na trzy miesiące.

Pomnik króla Jana III Sobieskiego
Targ Drzewny, Gdańsk



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

**Prokuratura Okręgowa
(dawniej siedziba Komitetu Wojewódzkiego PZPR)**
ul. Wały Jagiellońskie 36, Gdańsk

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

Skręciliśmy w Wały Jagiellońskie i zatrzymaliśmy się przy numerze 36. – *Ten budynek nie prezentuje się ciekawie. Co się tu mieści?*

– *Prokuratura Okręgowa. Niegdyś budynek wyglądał znacznie bardziej imponująco, był wyższy i miał spadzisty dach. Jednak w grudniu 1970 jego funkcja nie kojarzyła się mieszkańcom Gdańska z przestrzeganiem prawa, a z jego łamaniem. Gdańszczanie przezwali wtedy budynek „Reichstagem”.*

Mieścił się tu Komitet Wojewódzki PZPR. 14 grudnia 1970 r. strajkujący stoczniowcy przyszli tu, by negocjować z władzą zniesienie podwyżek cen żywności. Nikt z nimi nie chciał rozmawiać. Wrócili następnego dnia, dołączyła do nich spora grupa studentów. Podczas manifestacji budynek został podpalony, spłonął cały dach i górne kondygnacje.

Idąc w stronę Stoczni Gdańskiej, minęliśmy krajową siedzibę Solidarności. – *Spójrz Alem, to pewnie tu widziałeś nazwę „Drogi do wolności”. W budynku znajduje się wystawa o tej nazwie. Powinieneś ją zobaczyć, pozwoli Ci wiele zrozumieć z naszej historii. Ale dzisiaj nie starczy nam na to czasu.*

Dotarliśmy do Placu Solidarności, do słynnej Bramy nr 2 i Pomnika Poległych Stoczniowców. Można odnieść wrażenie, że całe to miejsce to pomnik. Jest tu wiele tablic, rzeźb, napisów,

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

Stocznia Gdańska
ul. Doki 1, Gdańsk

Siedziba Komisji Krajowej NSZZ Solidarność
ul. Wały Piastowskie 24, Gdańsk

FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



Pomnik Poległych Stoczniovców 1970
Plac Solidarności, Gdańsk

upamiętniających zdarzenia, które miały miejsce w całej Polsce na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Prawie zawsze są tu kwiaty i znicze, często też transparenty i plakaty na bramie stoczni.

14 grudnia 1970 roku rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej. Protesty te rozprzestrzeniły się na inne zakłady na całym wybrzeżu. Do ich tłumienia władze użyły wojska i milicji. Według oficjalnych danych, śmierć poniosło 45 osób, a 1165 zostało rannych. Podwyżkę cen wycofano 1 marca 1971 roku po wielu kolejnych strajkach i protestach.

Kolejnym pamiętnym dla stoczni i całej Polski wydarzeniem był strajk w 1980 r. Rozpoczął się 14 sierpnia, a przywództwo nad nim objął Lech Wałęsa. Wraz z delegatami innych strajkujących zakładów, którzy przyjechali do Stoczni Gdańskiej, utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który wysunął 21 postulatów. Zapisano je na drewnianych tablicach i zawieszono na bramie stoczni. Dzisiaj te tablice, na których postulaty spisywali Maciej Grzywaczewski i Arkadiusz Rybicki (zginął w katastrofie smoleńskiej) znajdują się na liście dziedzictwa kulturowego UNESCO. Po zwycięskim strajku, powstał pierwszy we wschodniej Europie wolny, Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”.

16 grudnia 1980, w rocznicę wydarzeń grudnia 70, przed stoczną odsłonięto pomnik, wzniesiony ku pamięci poległych stoczniovców. Pomnik składa się z trzech krzyży, o wysokości 42 metrów. Na każdym zawieszona jest kotwica – symbol nadziei. W czerwcu 1987 roku, pod tym pomnikiem, szczelnie odgradzony od tłumu wiernych przez oddziały ZOMO, modlił się samotnie papież Jan Paweł II.





Mieszkanie Anny Walentynowicz
ul. Grunwaldzka 49, Gdańsk

– Widzę, że masz już trochę dość tego chodzenia. Dobra wiadomość, wsiadamy do samochodu i jedziemy do Sopotu.

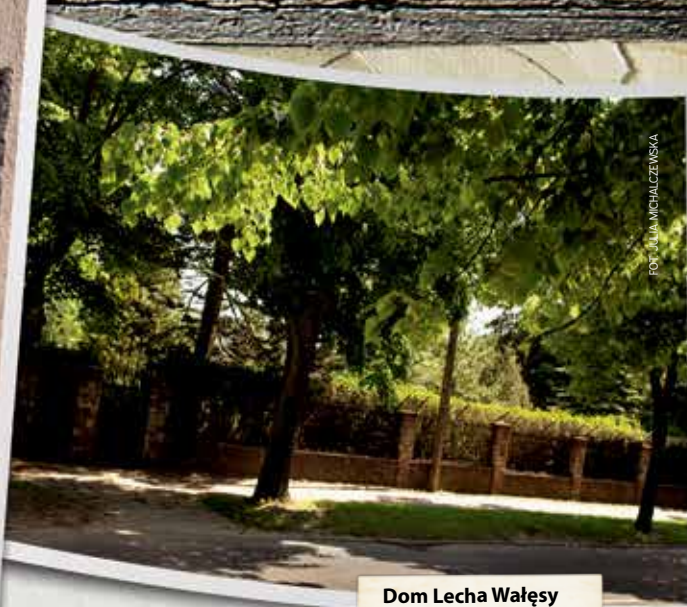
Po drodze jednak zatrzymaliśmy się przy ulicy Grunwaldzkiej 49. Tu mieszkała Anna Walentynowicz, działaczka Wolnych Związków Zawodowych, współzałożycielka NSZZ „Solidarność”, Dama Orderu Orła Białego. Ci, którzy ją znali, mówili o niej „Mateczka Solidarności”, była bardzo ciepłą i miłą osobą. Pracowała w Stoczni Gdańskiej jako suwnicowa. Pierwszym postulatem protestujących w sierpniu 80. robotników było przywrócenie do pracy niesłusznie zwolnionej Anny Walentynowicz. W stanie wojennym internowana, uwięziona w 1983 r. za próbę wmurowania tablicy upamiętniającej górników kopalni „Wujek”. Pani Ania zginęła w katastrofie smoleńskiej.

W drodze do Sopotu, zwolniłam przy ulicy Polanki 54.

– Tu pewnie mieszka ktoś ważny – domyślił się Alem patrząc na kute ogrodzenie, kamery, gęsty żywopłot i budkę strażnika.

– Zgadłeś. Mieszka tu Lech Wałęsa, czy mam ci o nim opowiedzieć?

– Nie trzeba, w Etiopii to postać



Dom Lecha Wałęsy
ul. Polanki 54, Gdańsk

dobrze znana i szanowana.

W Sopocie pojechaliśmy na ulicę Armii Krajowej 55, pod kamienicę w której mieszkali Maria i Lech Kaczyńscy.

– Dużo tu zniszczy i kwiatów – zauważył Alem.

– Tak, ludzie przynoszą je tu dziesiątego dnia każdego miesiąca, upamiętniając katastrofę w Smoleńsku.

Lech Kaczyński przeprowadził się z Warszawy do Sopotu w 1971 r, był profesorem prawa na Uniwersytecie Gdańskim. W 1977 r. za

Mieszkanie Marii i Lecha Kaczyńskich
ul. Armii Krajowej 55, Sopot



Gdynia Stocznia – kładka dla pieszych nad przystankiem kolejki miejskiej

Węzeł Ofiar Grudnia 70

pośrednictwem brata Jarosława, nawiązał współpracę z Biurem Interwencji KOR. Od 1978 r. działał w Wolnych Związkach Zawodowych. W sierpniu 1980 r. był jednym z doradców Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej. W czasie stanu wojennego był internowany. Zawsze związany z „Solidarnością”, w 2005 roku wybrany Prezydentem RP. Wraz z małżonką Marią i 94 wybitnymi Polakami zginął 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie pod Smoleńskiem.

Pojechaliśmy do Gdyni i zatrzymaliśmy się przy przystanku Szybkiej Kolei Miejskiej Gdynia Stocznia. To tu wczesnym rankiem, 17 grudnia 1970 roku, robotników idących do pracy przywitały lufy czołgów i karabinów wojska i milicji. Padły strzały i pierwsi zabici. Wspomnieniem tamtych wydarzeń jest pomnik autorstwa Stanisława Gierady. Z szeregu cyfr układających się w zapis: 1970 wysuwa się siódemka. Jej kształt przywodzi na myśl człowieka rażonego kulą. Z boku, na tablicy wypisano osiemnaście nazwisk ofiar gdyńskiego grudnia. W tym gronie najstarszy miał 34 lata, najmłodszy 15. Informacja przy nazwiskach wyjaśnia, że byli to: robotnicy, uczniowie i jeden student.

Tłum wypchnięty z wiaduktu na ulicę Morską uformował pochód. Pierwszy szereg niósł na ramionach ciało zabitego robotnika złożone na drzwiach: *Na drzwiach ponieśli go Świętojańską Naprzeciw glinom, naprzeciw tankom* – brzmia słowa „Ballady o Janku Wiśniewskim”, przywoływanej w filmach Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza” i Antoniego Krauzego „Czarny Czwartek”.

Pomnik Ofiar Grudnia 1970
ul. Janka Wiśniewskiego, Gdynia

ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Wywiad z Marylą Rodowicz – piosenkarką,
zwaną królową polskiej estrady.

MAREK SZPENDOWSKI: *Rozmowa z tobą o podróżach jest przekorą?*

MARYŁA RODOWICZ: Tak, bo nie cierpię podróżować! Zawodowo dużo jeżdżę po świecie, więc może dlatego. Pakowanie, walizki – coś straszego.

MSz: *Z naszych wyjazdów pamiętam, że bierzesz za dużo walizek.*

MR: Bo wożę za dużo ubrań. Lubię czuć, że mam wszystko na każdą okazję. Potem i tak chodzę w jednych ciuchach. Raz poleciałam na jacht. To był mój pierwszy raz, więc wyobrażałam sobie, że wieczorami się wychodzi. Wzięłam szpilki, wieczorowe kreacje... Na tej niewielkiej łodzi mój bagaż zajął jedną kajutę i nigdy nie został rozpakowany. Innym razem miałam lecieć w góry Szwajcarii prywatnym samolotem. Na widok moich bagaży pilot małej maszyny powiedział, że z takim obciążeniem samolot się nie podniesie. Z Genewy pojechałam więc taksówką.

MSz: *Wymień kilka powodów, dla których nie lubisz podróżować.*

MR: W samolocie nie śpię, bo się boję, więc muszę obserwować zakręty. Nie lubię obcych hoteli, a wszystkie są obce. Staram się wrócić do pokoju jak najpóźniej, żeby tylko przyłożyć głowę i rano wyjść.

MSz: *Dlatego jesteś świetnym kompanem biesiad.*

MR: Dziękuję. Prawdą jest, że mieliśmy kilka wspólnych ciekawych przygód. Nie zapomnę, jak w Moskwie namówiłeś mnie, by razem zatańczyć na stole.

MSz: *I nie wzbudziło to zgorszenia ani sensacji.*

MR: To są słowiańskie dusze.

MSz: *A ja nie zapomnę, że po koncertach adrenalina długo Cię trzyma i często w nocy masz ochotę pogadać. Mnie zawsze wyciągałaś z hotelu dzwoniąc w nocy z propozycją, żebyśmy zjedli coś małego.*

MR: Broniłeś się pytając: „Co małego”? A ja niezmiennie odpowiadałam: „małego prosiaczka”. (śmiech)

MSz: *I niezmiennie dawałam się na to nabrać.*

MR: Jednak w czasie naszych podróży nie tylko się bawiliśmy. Byliśmy przecież razem na wojnie.

MSz: *Rzeczywiście – w Iraku.*

MR: To były emocje! Lecieliśmy ogromnym samolotem transportowym – Herkulesem. Zaraz po starcie, żeby uniknąć ewentualnego ostrzału, pilot zaczął robić ostre skręty prawie zamiatając skrzydłem po płycie lotniska. Chórzystki się popłakały. Później jeszcze czekał nas lot helikopterami, z karabinami wystawionymi za okna i w asyście bojowych maszyn. Zaledwie kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Potem błyskawiczny koncert i lot powrotny. Wszystko nie trwało więcej niż 24 godziny.

MSz: *Byłaś na jakiejś innej wojnie?*

MR: Na szczęście nie, ale chciałabym odwiedzić naszych chłopców w Afganistanie.

MSz: *Pamiętam też inne przeżycie z tobą, które wymagało*



waleczności i odwagi. Nasz pierwszy wspólny pobyt w Rosji.

MR: Grałam koncert na Placu Czerwonym, który został w całości zagrodzony. By tam dojść z hotelu trzeba było przejść tunelem pod ulicą. Wokół było około 2 milionów ludzi a sam tunel zatłoczony do granic możliwości. Przydzielona nam ochrona uciekła w przerażeniu. Zostaliśmy sami. Szedłeś przede mną i torowałeś drogę moim futerałem od gitary. Jak Desperado. Pomogło i dotarliśmy na czas. Ochrona się nie przebiła.

MSz: *Miałem jeszcze jedną przygodę z rosyjską ochroną.*

Gdy organizowałem koncert Rolling Stonesów w Moskwie, szef ich amerykańskiej ochrony nakazał rosyjskim służbom porządkowym stać przy wejściach na scenę i nie wpuszczać nikogo, kto nie ma odpowiedniego identyfikatora. Tak też zrobili. Gdy nadeszła godzina koncertu i na widowni zasiadło 60 tysięcy osób, do sceny podszedł zespół. Oczywiście bez identyfikatorów. Zostali zatrzymani przez karnych ochroniarzy. Kiedy amerykański szef ochrony Stonesów powiedział chłopakom, że akurat tym osobom mogą pozwolić na wejście bez plaketek, ci spojrzeli mu głęboko w oczy i zapytali: „Sprawdzasz nas?”. Był to jedyny koncert na świecie, na którym zespół Rolling Stones wystąpił z identyfikatorami na szyjach.

PKiN

kongresy

konferencje

targi

wystawy

koncerty

bankiety

bale



profesjonalne wyposażenie, indywidualna obsługa, niepowtarzalna atmosfera



Pałac Kultury i Nauki Warszawa

Pałac Kultury i Nauki Sp. z o. o., 00-901 Warszawa, Pl. Defilad 1
tel.: (22) 656 77 23, (22) 656 77 26, fax: (22) 656 62 08
e-mail: pkinn@pkinn.pl, www.pkinn.pl

Marek Sołtysiak

WYZWANIE DLA PRAWDZIWYCH BIKERÓW



W GÓRY NA DWÓCH KÓŁKACH

Takich rowerowych parków jak Dolomiti Brenta Bike jest w Europie niewiele. Trasy wytyczone przez doświadczonych rowerzystów mają różny stopień trudności. Na rowerze można tu dotrzeć aż pod szczyty Dolomitów, do wysokości 2 tysięcy m.n.p.m

Doskonale przygotowane i oznakowane trasy – o różnej nawierzchni i różnym stopniu trudności. Wymagające podjazdy i zapierające dech w piersi zjazdy. A ponadto – świetna włoska kuchnia, gościnność i życzliwość na każdym kroku. To wszystko sprawia, że Dolomiti Brenta Bike jest przedsięwzięciem, które spełniło marzenie niemal każdego miłośnika kolarstwa górskiego.

Grupa Dolomitów Brenta w prowincji Trentino zajmuje obszar 500 kilometrów kwadratowych i znajduje się na zachód od doliny Adygi. Otaczają ją doliny: Val di Non, Val di Sole (gdzie w 2008 r. odbyły się Mistrzostwa Świata w Kolarstwie Górskim XC), Valli Giudicarie oraz Val Rendena. Warto też wiedzieć, że w okolicy znajdują się dwa duże ośrodki narciarskie – Pinzolo-Madonna di Campiglio oraz Paganella (Molveno-Andalo).

WOKÓŁ DOLOMITÓW

Projekt wytyczenia szlaku rowerowego okrążającego pasmo Dolomitów Brent powstał w 2006 r. i jest efektem współpracy lokalnych instytucji turystycznych: organizacji turystycznej prowincji Trentino oraz władz Parku Narodowego Adamello-Brenta. Trasa nie została wyrysowana „palcem na mapie”, specjaliści wytyczali ją w terenie.

– *Dolomiti Brenta Bike to trasa stworzona przez rowerzystów dla rowerzystów. Ma dawać radość i satysfakcję. Nie została wytyczona tylko dlatego, że tak postanowiono. Zdecydowaliśmy się promować projekt Dolomiti Brenta Bike dopiero, gdy byliśmy pewni, że na to zasługuje* – mówi Davide Aldrighetti, autor pętli i przewodnik rowerowy.

Szlak powstał w dwóch wariantach: łatwiejszym, 136-kilometrowym „Country Tour” oraz trudniejszym, 171-kilometrowym „Expert Tour”. Obydwa okrążają masyw Dolomitów Brenta. Pierwszy prowadzi łatwiejszymi technicznie odcinkami, a także omija niektóre podjazdy. Na

długości około jednej czwartej pętli warianty obu szlaków pokrywają się lub przeplatają. Dzięki temu można dokonywać wyboru trasy w zależności od aktualnej dyspozycji.

Explorer Tour obejmuje także dodatkowe szlaki, które można przemierzyć zbaczając nieco z Dolomiti Brenta Bike.

WŁASNYM SZLAKIEM

Na pętli wokół Dolomitów Brenta nie zaznaczono ani punktu startu, ani mety. Nie ma też dokładnie ustalonych etapów. Bikerzy mogą pokonywać szlak w dowolnym czasie i tempie. Na stronie internetowej www.dolomitibrentabike.it istnieje także możliwość stworzenia własnego szlaku. Po określeniu, jaką liczbę kilometrów oraz ile przewyższeń planuje się pokonywać jednego dnia, otrzymamy propozycję optymalnej, zindywidualizowanej trasy wraz ze wskazaniem miejsc najbliższych noclegów. Z tej strony można również pobrać, bezpłatnie, ślad GPS dla zaplanowanej wyprawy. Drukowane mapy i foldery są natomiast łatwo dostępne w punktach informacji turystycznej oraz wszystkich obiektach noclegowych.

Rezerwacji noclegów należy dokonywać indywidualnie i nie trzeba tego robić z dużym wyprzedzeniem. Nawet w sezonie łatwo jest znaleźć kwatery. Można też zlecić rezerwację pod adresem: info@dolomitibrentabike.it, gdzie także należy kierować wszelkie pytania dotyczące Dolomiti Brenta Bike.

BEZPIECZNIE I WYGODNIE

Kluczem do powodzenia projektu, oprócz atrakcyjnych tras i pięknych widoków, jest zapewnienie cykloturystom komfortu i poczucia bezpieczeństwa. W tym roku została wprowadzona usługa transportu bagażu do następnego miejsca noclegu. Za 10 euro od jednej osoby (przy większej liczbie osób koszt jednostkowy zmniejsza się) można zostawić bagaż rano w recepcji i odebrać u celu podróży. Dzięki temu można cieszyć się jazdą rowerem bez uciążliwości wożenia bagażu. Zresztą, w wielu miejscach jazda z sakwami byłaby bardzo ryzykowna, a nawet niemożliwa.

Na stronie internetowej szlaku umieszczony został nr telefonu alarmowego, pod który należy zadzwonić w razie poważnego wypadku, zagubie-

Wzdłuż trasy drogę wskazują znaki informujące, jaki to szlak i jaka jest odległość do najbliższych dwóch miejscowości – wraz z sumą podjazdów do pokonania (!).

Partnerami projektu zostało wiele hoteli, pensjonatów, gospodarstw agroturystycznych oraz schronisk, które z otwartymi ramionami przyjmują rowerzystów na nocleg oferując najczęściej możliwość umycia sprzętu oraz zamykane pomieszczenie, gdzie można schować rower. To bardzo miłe, kiedy umazanego błotem rowerzystę gospodarze witają z uśmiechem nie obawiając się, że zaraz ich czyste posadzki będą pełne brudnych śladów.

Na mapie oznaczone są także pobliskie serwisy i restauracje. Nie trzeba martwić się o wodę do picia – w każdym mijanym miasteczku znajduje się

BEZ OBCIĄŻENIA

Od tego roku w Dolomitach pedałuje się wygodniej, bo bez bagażu. Za niewielką opłatą torby i plecaki zostaną przetransportowane do miejsca następnego noclegu.



nia się itp. Umieszczono tam również, aktualizowaną na bieżąco prognozę pogody oraz informację o warunkach jazdy w dwóch najwyższych punktach trasy – Monte Peller (2022 m n.p.m.) i Monte Spinale (2100 m n.p.m.).

PRZYJAZNE MIEJSCA

Miłośnicy kolarstwa wiedzą, że infrastruktura wokół rowerowego szlaku jest równie ważna jak atrakcyjność trasy. Pamiętali o tym autorzy projektu Dolomiti Brenta Bike. Każdy fragment trasy jest jednolicie oznakowany. Co 10 kilometrów umieszczono tablice z mapą najbliższego odcinka.

źródło z wodą pitną. Ujęcia rozlokowano tak gęsto, że trasę można przejechać jedynie z bidonem.

KILOMETR NA PIECHOTĘ

Górskie trasy, choć fragmentami bardzo wymagające, są niemal w całości przejezdne. Na szlaku Expert znajduje się jedynie kilometrowy odcinek, który, według wskazań, należy pokonać prowadząc rower. Oczywiście, może się to zdarzyć częściej, ale z indywidualnych powodów: zmęczenia, niedośkonłości sprzętu bądź braków w technice jazdy.

Dominującą nawierzchnią trasy jest żwir – sypki albo ubity, a czasem są to ułożone większe kam-

ki. Część szlaku wytyczona jest leśnymi duktami, a także mało uczęszczanymi (lub zamkniętymi dla ruchu samochodowego) drogami asfaltowymi. Fragmenty szlaku Country zostały poprowadzone ścieżkami rowerowymi.

Suma przewyższeń w obu wariantach jest oneśmielająca – to 7700 m w wersji Expert oraz 4600 m na szlaku Country. Pierwszy wariant dwukrotnie wyprowadza na wysokość ponad 2000 m n.p.m. Dachem drugiego jest przełęcz Campo Carlo Magno (1630 m n.p.m.), oddzielająca Dolomity Brenta od Grupy Adamello. W łatwiejszej wersji specjalnie przystosowany do przewozu rowerów pociąg pozwala ominąć najbardziej wyczerpujące podjazdy.

KASK OBOWIĄZKOWO

Dolomiti Brenta Bike służy amatorom kolarstwa górskiego. Wskazany jest zatem odpowiedni rower posiadający pełną amortyzację, grube opony, hamulce tarczowe oraz wystarczająco lekkie przełożenia. Ale Dolomiti Brenta Bike, nawet w wersji Expert, można przejechać na słabo bieżnikowanych oponach, dysponując jedynie przednim amortyzatorem. Jednak wtedy trzeba dać z siebie dużo więcej. Oczywiście elementem obowiązkowym jest kask.

Dolomiti Brenta Bike, nawet w wersji Country, to przygoda dla osób systematycznie jeżdżących na rowerze. Wskazane jest doświadczenie z dłuższych wycieczek lub maratonów rowerowych. Najdłuższe

podjazdy to przewyższenia rzędu 1000-1200 m – jakich w Polsce nie ma. Część trasy pokrywa się z legendarnym wyścigiem MTB Transalp.

TAKŻE DLA PIECHURÓW

Jeśli chcecie zabrać ze sobą mniej wytrenowanych znajomych, atrakcją dla nich może być wizyta w licznych tutejszych centrach Spa&Wellness. Dolomity Brenta to również świetne miejsce do uprawiania innych sportów.

– *Wzorem Dolomiti di Brenta Bike stworzyliśmy wspólny szlak trekkingowy – Dolomiti Brenta Trek. Podobnie jak w przypadku trasy rowerowej, szlak pieszy również został przygotowany w dwóch wariantach – Expert oraz Country. Trudniejszy prowadzi koroną Dolomitów Brenta, nie omijając najciekawszych via ferrata. Łatwiejszy omija najtrudniejsze odcinki pozwalając rozkoszować się widokami gór bez specjalnych wymagań kondycyjnych. W przyszłości planujemy również stworzenie szlaku konnego – mówi Alessandra Odorizzi, dyrektor Agencji Promocji Turystyki Terme di Comano.*

I JESZCZE PODPIS

Wycieczka Szlakiem Niedźwiedzia Brunatnego, symbolu Dolomiti Brenta Bike, może być celem samym w sobie lub doskonałym obozem treningowym dla osób poważnie traktujących kolarstwo górskie. W tych okolicach można również samodzielnie jeździć rowerem szosowym.

Po zakończeniu wyprawy warto odwiedzić sklep rowerowy MUWI w Terme di Comano, gdzie znajduje się ściana, na której może podpisać się każdy, kto przejechał pętlę wokół Dolomitów Brenta. Umieszczenie tam swojego nazwiska to naprawdę duża satysfakcja. ○

CZAS NA PLAŻĘ

Rowerowa trasa wiedzie także wzdłuż największego alpejskiego jeziora Molveno. Warto się tu zatrzymać. Plaża nad tym jeziorem zaliczana jest do najpiękniejszych w Trentino.

BIWAK

Wielu z nas już powoli snuje plany wakacyjne. Są wśród nich koncepcje wyjazdów biwakowych, gdzie będziemy zdani tylko na siebie i sprzęt, który ze sobą zabierzemy. Warto zatem pamiętać, że wybory jakich dokonamy teraz w doborze ekwipunku mogą mieć wpływ na przebieg naszej wyprawy. W końcu to ma być czas wypoczynku i oderwania od codziennego zgiełku, zatem zawnoczu zaplanujemy zawartość naszego plecaka.



Cena: 382 zł
www.nikon.pl

NIKON SPORTSTAR EX 10X25

Kompaktowa lornetka opracowana z myślą o miłośnikach aktywnego wypoczynku. Dzięki wielowarstwowym powłokom na soczewkach urządzenie zapewnia wyraźny obraz o dobrze zrównoważonej kolorystyce, nawet przy niewielkim natężeniu światła. Lornetka sprawdzi się podczas trudnych warunków atmosferycznych. Jej zwarty, lekki korpus wypełniono azotem w celu zapewnienia odporności na zaparowanie. Dzięki specjalnym uszczelnieniom nawet zanurzenie w wodzie (do 2 m przez 5 minut) nie jest w stanie jej zaszkodzić. Niewielkie rozmiary, mała waga oraz zwarta obudowa sprawiają, że z łatwością mieści w kieszeni kurtki.

MEIDL – AIR REVOLUTION 5.3

Jeśli szukasz butów, w których stopa będzie świetnie wentylowana – Meidl z serii Air Revolution jest dla Ciebie. But wyposażony jest w membranę Gore-tex oraz podeszwę Vibram. Ponadto posiada nakładkę na język wykonaną z siateczki 3D odpowiadającą za jeszcze lepszą cyrkulację powietrza. Podczas odbicia od podłoża z buta wyciskane jest ciepłe powietrze na zewnątrz, a w fazie stąpania świeże, chłodne powietrze jest zasysane do wnętrza obuwia. Meidl tworzy obuwie dla ludzi, dla których wysoka jakość, komfort oraz niezawodność są bardzo ważne. Już wiele razy wprowadzone przez firmę innowacje ustanowiły nowe standardy w trekingu.



Cena: 999 zł
www.meidl.pl



Cena: 339 zł
www.merrell.pl

MERRELL CAMBRIAN STRETCH

To propozycja dla mężczyzny na piesze wędrówki i do użytku codziennego. Wierzchnia warstwa wykonana jest z nubuku, skóry i siateczki. Miękka konstrukcja buta zapewnia elastyczność i komfort. Dodatkowym atutem jest podeszwa Vibram Cambrian gwarantująca doskonałą stabilność i przyczepność w każdych warunkach, zarówno na suchej jak i mokrej powierzchni.



4FLEX CASSIS

Wędrując pieszo, lub spędzając czas w inny aktywny sposób jesteśmy narażeni na przeciążenia stawów lub kontuzje. 4Flex działa profilaktycznie i leczniczo w dolegliwościach układu stawowo-kostnego. Hamuje procesy zapalne, łagodzi ból, regeneruje tkanki systemu stawowego, wspomaga rozrost nowych komórek tkanki chrzęstnej. Składnik aktywny stanowi w produkcie 10 g hydrolizatu kolagenu FORTIGET®. Zatem planując wzmożoną aktywność fizyczną pamiętajmy o tym suplementie diety o smaku czarnej porzeczki.

Cena: (30 saszetek w opakowaniu): 110zł.
www.stawyjaknowe.pl



Cena: 39.90 zł
www.makanu24.pl

LIGHT MY FIRE FIRESTEEL 2.0 SCOUT

To nowa wersja szwedzkiego krzesiwa. Nowy design, poprawiona ergonomia, bardziej wydajny striker z wbudowanym gwizdkiem. Iskry o temperaturze 3.000°C umożliwiają rozpalenie ognia przy każdej pogodzie i na dowolnej wysokości. Krzesiwo jest chętnie używane zarówno przez wojsko jak i ekspertów survivalu, myśliwych, wędkarzy, obozowiczów i na kempingu. Charakteryzuje się wysoką trwałością (ok. 3.000 użyć), działa tak samo jeśli jest mokre, daje bardzo jasne iskry (mogą służyć jako sygnalizacja), oraz posiada gwizdek alarmowy. To obowiązkowy element każdego outdoorowca.

IMODIUM® Instant

Biegunka to niestety częsta dolegliwość w czasie biwakowania bądź pieszych wycieczek. Warto zaopatrzyć się zatem w środek, który szybko poradzi sobie z naszymi kłopotami. Imodium Instant to tabletka rozpuszczająca się na języku w ciągu 2-3 sekund. Dzięki temu jest idealna w podróży – nie wymaga popijania. Imodium skraca czas trwania biegunki i może być stosowane przez dzieci powyżej 6 roku życia. Dostępne w aptece bez recepty.



Cena: 9 zł/6szt

Reklama

BAGAŻNIKI



ZPH „TAURUS”
ul. Plebiscytowa 200, 43-190 MIKOŁÓW
tel. (32) 322-13-84, 226-07-84
www.taurus.info.pl

Nowość! FreeRide 532

LISTA DEALERÓW
Andrychów „Goliat”, Krakowska 117A, tel. 875 95 01 • Białystok „AMT-Galeria Kwadrat”, Gen. Andersa 38, tel. 662 30 68 • Bielsko-Biała „Gratitti”, Stojalowskiego 41, tel. 812 58 45 • Bydgoszcz „Auto Marek Bis”, Marcina Orlowity 25, tel. 373 51 17 • Chorzów „Sklep”, Syczyńskiego 11/2, tel. 0604 9111 718 • Czechowice Dz. „Art. Motor”, Legionów 46, tel. 215 50 01 • Czystachowa „Bar”, Warszawska 81/83, tel. 324 55 54 • Gdańsk „Bikers World KTM”, al. gen. Hallera 132, tel. 341 32 17 • Gdynia „Auto Tour”, ul. Witomińska 32, tel. 620 32 61 • Gilwice „Wioła”, Wilgi 7A, tel. 232 19 65 • Gorzów „Sobór”, Racławicka 2, tel. 729 72 55 • Jaworzno „Sklep”, Wojska Polskiego 15, tel. 616 85 45 • Jelenia Góra „Rabat”, Sobieskiego 19, tel. 752 68 13 • Kalisz „CEKTOP”, Chopina 24, tel. 767 30 30 • Katowice „Jaurus Support”, Chorzów „Zielony Zaulek 1”, tel. 511 001 077 • „Sklep”, Andrzeja 13, tel. 251 51 63 • „Voyager”, Poleska 29, tel. 252 68 53 • Kielce „Sklep”, Sandomierska 192, tel. 344 64 51 • Koszalin „Franter”, Gnieźnieńska 19, tel. 341 13 33 • Kraków „TFF”, Przybyszewskiego 2, tel. 638 49 48 • „Auto Mont”, Pasieczna 2A, tel. 266 05 00 • „Sklep”, Prądnicka 79, tel. 416 20 08 • Leszno „Klinika Aut”, Poznańska 12, tel. 500 350 722 • Lubin „Katpol”, Towarowa 5, tel. 746 17 10 • Lublin „Remat”, Borełowskiego 45, tel. 524 05 21 • Łódź „Cubik”, Milionowa 2, tel. 684 06 90 • Nowy Sącz „Polzbyt”, Al. Wolności 10, tel. 443 71 35 • Nowy Targ „Bemal”, Waksmundzka 16, tel. 266 92 26 • Olštyn „Taurus-Car”, Pstrowskiego 12, tel. 535 33 03 • Opole „Sklep”, Partyzancka 65/1, tel. 457 57 07 • „Sport”, Tysiąclecia 6, tel. 455 23 63 • Ostrów Wilk. „Sklep”, Gorzyce, Ostrowska 738, tel. 734 71 27 • Poznań „Taurus Bagażniki”, Głogowska 98, tel. 864 34 19 • „Bagda”, Wieruszowska 10, tel. 867 89 65 • Pruszków „Dibag”, Al. Jerolimskie 451, tel. 728 19 18 • Przemysł „Box-Bis”, Ostrów 245, tel. 671 04 08 • Radom „Sklep”, Kelles-Krauz 9, tel. 389 56 39 • Rybnik „DHMM”, Jankowicka 9, tel. 733 00 21 • Sanok „ST Plus”, Krakowska 190, tel. 464 64 44 • Sosnowiec „Box”, Moniuszki 15A, tel. 785 51 21 • Szczecin „Moto Akces”, Jagiellońska 27, tel. 484 15 26 • Tarnów „Tarfand”, Pracy 9, tel. 621 00 16 • Warszawa „Taurus” – Filia, Bivvy Warszawskiej 1930 r. 11, tel. 823 86 36 • „Taurus” – Filia, Polczyńska 51, tel. 665 99 24 • „Sklep”, Grijecia 128 paw 5, tel. 823 77 24 • „Hossa”, KEN 88, tel. 374 02 10 • „Hossa”, Miedziarna 12, tel. 890 09 86 • „All Mot”, Korkowa 44, tel. 815 83 33 • Wejherowo „Sklep”, Sikorskiego 51, tel. 672 42 16 • Wrocław „MCM”, Legnicka 62, tel. 351 23 71 • „MCM Mroziński”, Słężna 146 – obok stacji SHELL, tel. 337 20 73

bagażniki
TAURUS

Generalny przedstawiciel
w Polsce firmy THULE



Cena: ok. 30 zł
www.thea.pl

HYABAK®PROTECTOR

Podczas aktywności outdoorowych nasze oczy są narażone na promieniowanie UV. Nie zawsze jesteśmy wyposażeni w okulary przeciwsłoneczne z odpowiednimi filtrami. Stąd dla aktywnych osób polecamy HYABAK® Protector – jedyne krople nawilżające do oczu i soczewek kontaktowych z filtrem UV, które chronią oczy przed szkodliwym działaniem światła słonecznego (promieniowania UV). Natychmiast przynoszą ulgę w przypadku uczucia podrażnienia lub pieczenia oczu. Zawierają naturalny dla oka hialuronian (naturalny składnik łez) i są całkowicie pozbawione konserwantów.

MCKINLEY RAPIDO 3

Namiot kempingowy nowej generacji: ultraszybko rozkładany i składany – jedna osoba jest w stanie go rozłożyć w ciągu 3 minut! Bardzo lekki, dzięki czemu doskonale nadaje się na wycieczki z plecakiem. Ma podwójny dach i dużą sypialnię. Wysoki – w szczytowej części osiąga 120 cm, co zapewnia swobodę użytkownikom. W środku liczne dodatki zapewniające komfort: uchwyt na podwieszenie lampy, kieszenie boczne. Praktycznym rozwiązaniem, szczególnie podczas biwaku na podmokłym terenie, jest zintegrowanie podłogi w przedsiionku z sypialnią. Waga: ok. 3,95 kg, Wymiary (dł. x szer. x wys.): – namiot wewnętrzny ok. 250 × 210 × 135 cm; – namiot zewnętrzny ok. 265 × 210 × 140 cm

VIBRAM FIVEFINGERS KSO TREK



Pochodząca w Włoch marka, słynąca z produkcji doskonałych podeszew do wszelkiego rodzaju obuwia, wymyśliła i opatentowała w 2005 roku nowy niezwykle, innowacyjny produkt – buty z palcami! Model KSO Trek to jeden z chętniej kupowanych na świecie butów. Skóra kangura na wierzchu i wewnątrz buta jest miękka dla stopy, wytrzymała i odporna na rozdarcia, a jednocześnie wyjątkowo „oddychająca”. Gruba na 4 mm wkładka zapewnia ochronę przed obiciem i pokaleczeniem stopy przez kamienie, a 4-milimetrowa podeszwa z gumy Vibram TC-1 Performance Rubber w miejscu styku z podłożem zapewnia lepszą przyczepność w każdym terenie. Model ten sprawdzi się podczas podróży, czy pieszych wędrowek. To jedyne obuwie na rynku, którego producent dopuszcza pranie w pralce (oczywiście z zachowaniem określonych zasad) gwarantując jego bezproblemowe użytkowanie przez okres 2ch lat.

THERMAREST PROLITE™(WOMEN)

Prolite to jeden z 30 materacy marki Thermarest. Produkty Thermarest słyną ze swej niezawodności – producent daje na nie „dożywotnią” gwarancję i posiada światową sieć serwisową. Mający ergonomiczny kształt Prolite to najlżejszy i najmniejszy po spakowaniu model „samopompującego się” Thermaresta. Jest to jeden z dwóch najlepszych materaców dla osób ceniących minimalną wagę i minimalną objętość pakowanych rzeczy. Materac Prolite przeznaczony do użytkowania w okresie wiosna-jesień (model cieplejszy to ProlitePlus). Women (kształt i parametry cieplne dostosowane do kobiecych wymagań): Waga: 460g Wymiary po rozłożeniu: 51x168x2,5cm Wymiary po złożeniu: 28x10cm. Materac jest wyposażony w pokrowiec.

Cena: 479.90 zł
www.paker.pl



Cena: 459.99 zł
www.intersport.pl





www.alpinus.pl

ALPINUS VSS ULTRALITE

VSS Ultralight to grupa lekkich śpiworów podróżniczych o trzech rodzajach wypełnienia Eulin Fiber (600, 800 i 1000). Posiadają one jednowarstwową konstrukcję z kołnierzem wewnętrznym, która po spakowaniu w specjalny worek kompresyjny osiąga rozmiary maksymalnie do 30cm długości i 16cm szerokości, dzięki czemu cały śpiwór jest niezwykle poręczny i łatwy do transportowania. W zależności od panujących warunków śpiwory mogą być używane samodzielnie lub razem. Dzięki interaktywnym zamkom użytkownik zyskuje możliwość łączenia śpiworów, poprzez wpinanie jednego w drugi, w różny sposób, co łącznie daje aż 7 różnych kombinacji! Modele mogą dodatkowo zostać wzbogacone o zewnętrzną wodoodporną powłokę VSS Weathertec Outer, która skutecznie chroni śpiwór przed wodą i wilgocią, a jednocześnie utrzymuje swoje parametry oddychalności.

VSS Ultralite 600 219,00 zł,
VSS Ultralite 800 249,00 zł,
VSS Ultralite 1000 279,00 zł



Cena: 114 zł (II)
www.tatonka.pl

TATONKA

Praktyczny czajnik turystyczny dostępny w trzech pojemnościach: 1l, 1,5l i 2,5l. Posiada wygodną rączkę, która się nie nagrzewa przy gotowaniu oraz specjalne sitko oddzielającą herbatę (sypaną) od wody. Wygodny otwierany od góry dekielk pozwala na sprawne nalewanie wody do czajnika. Jego niewielkie gabaryty (15 x 7 cm, waga 330 g) docenimy podczas pieszych, kilkudniowych wędrówek.

Reklama

Bornholm słoneczna wyspa Danii

DANIA. Wpadnij do sąsiadów!

visitdenmark.com



Zaplanuj wakacje,
zobacz na naszej stronie:

- najlepsze oferty
- dojazd i noclegi
- film o Bornholmie
- aktualną pogodę
- atrakcje i mapę wyspy

www.visitdenmark.com/wyspa-bornholm



Boliwia, Tiwanaku

FOT. KRYSZTOF BELATOWICZ / NATIONAL GEOGRAPHIC POLSKA

FOTOREPORTAŻ

– OPISYWANIE ŚWIATA

Rzetelny fotoreportaż może okazać się wyzwaniem, a na pewno jest twórczą dziennikarską robotą, w której zamiast słów używamy obrazu. Planując foto-ekspedycję, powinniśmy przede wszystkim kierować się swoimi zainteresowaniami. Pamiętajmy o tym, że wyprawa to nie tylko czas samej podróży, ale także tygodnie solidnych przygotowań. Fotograf, który chce zrealizować reportaż i myśli o tym poważnie, musi rozplanować całe przedsięwzięcie profesjonalnie. Pierwszą decyzją jest wybór celu podróży oraz tematu, który będziemy fotografować. Jeśli potrzebujemy inspiracji, dobrze jest spotkać się z osobą, która zna wybrany region – na przykład mieszkała tam lub pracowała. Warto skontaktować się z miejscowymi naukowcami, Polakami, którzy prowadzą badania w danym miejscu. Zawsze będą przydatne wiedza i znajomości kulturoznawców, archeologów, etnologów, geografów. Następnym działaniem jest wygospodarowanie

odpowiedniego czasu na wyprawę oraz zorganizowanie zaplecza finansowego. Czas i pieniądź – także i w tym wypadku mają duże znaczenie. Im ich więcej, tym lepiej dla nas i naszego materiału. Każdy dzień jest okazją do zrobienia właśnie “tej” fotografii. Dodatkowa gotówka może pomóc we współpracy z miejscowymi przewodnikami, czy przy wyborze optymalnej opcji transportu. Kwestia aparatu – w tym wypadku, z kilku powodów, wybór pada na lustrzanekę cyfrową. Dlaczego nie powinien to być kompakt? Chociaż ten drugi jest lekki i mały, to jednak jakość obrazu, szczególnie przy wysokich czułościach, znacząco odbiega od tego, co da się uzyskać lustrzaneką. A kiedy fotografujemy w słabym oświetleniu, w pomieszczeniach bez światła, wieczorem lub po prostu nocą, możliwość użycia wysokiej wartości ISO jest istotna i niezwykle przydatna. Druga ważna rzecz to szeroki wybór obiektywów

do lustrzanek i tym samym prawie nieograniczony kąt obrazowania. Dobrym przykładem może być tu chociażby mała głębia ostrości, jaką możemy uzyskać, wykonując zdjęcie lustrzanką z obiektywem o niskiej wartości przysłony (np. f/1.4). Uzyskujemy przez to niezwykle i mocno rozmyte tło. Za pomocą kompaktu nie da się osiągnąć tego typu małej głębi ostrości.

Pamiętajmy jednak, że każdym aparatem można zrobić niesamowite zdjęcie. To przecież ludzkie oko, a nie automatyka aparatu tworzy kadr i kreuje fotograficzną rzeczywistość. Podczas dłuższych wyjazdów warto maksymalnie ograniczyć ekwipunek, nie tylko ze względu na kilogramy, ale też z racji bezpieczeństwa, by ograniczyć ewentualne ryzyko kradzieży.

Sprzęt fotograficzny pakujemy do specjalnego plecaka lub torby fotograficznej. Przed podróżą warto się ubezpieczyć, a podczas wyprawy pod żadnym pozorem nie wolno rozstawać się z dokumentami, pieniędzmi i sprzętem, zwłaszcza jeśli podróżujemy samotnie – wtedy ostrożności nigdy dość.

Zwracajmy uwagę na komentarze o hostelach zamieszczane w internecie i w przewodnikach. Jeśli wybrane przez nas miejsce nie cieszy się dobrą sławą, zdarzały się w nim nieprzyjemne incydenty, nie warto ryzykować tylko zawczasu

je zmienić. Lepiej zrezygnować z droższej kolacji i zaoszczędzone pieniądze wydać na bezpieczniejszy nocleg. Wybierając hotel, bierzmy też pod uwagę, czy będziemy mogli go wykorzystać jako przechowalnię bagażu. Stworzymy sobie tym samym miejsce-bazę. Możliwość zostawienia części dobytku, zbędnego balastu – takiego jak na przykład ciężkie buty, zbędne w dalszej części trasy – daje większą swobodę przemieszczania się. Taki system jest naprawdę wygodny. Przyjemnie wraca się do miejsca, gdzie czeka na nas czysta zmiana garderoby.

Podróżując i fotografując wybrany przez nas temat, dzień po dniu widzimy, jak nasze zdjęcia układają się w pewną historię. W czasie wyprawy wiele rzeczy nabiera odmiennego kształtu lub wygląda po prostu inaczej. Nie dziwcie się, jeśli z czasem Wasza koncepcja zmieni się, wskoczy na niespodziewany tor. To jest właśnie urok fotoekspedycji, napotkane okoliczności wpływają na nas samych i na naszą fotografię. W każdym razie pamiętajcie o tym, że ciekawy reportaż musi mieć fabułę. Fotografujmy otoczenie, portretujmy ludzi – im bardziej urozmaicony będzie nasz materiał, tym lepiej. Podróżowanie z aparatem przynosi wiele satysfakcji. Dlatego uwaga: fotoekspedycje uzależniają!

FOT. KRYSZTAŁ BELATOWICZ

Peru, jezioro Titicaca







Dokumenty do kontroli

Lipiec 1927 roku, warszawskie plaże po stronie praskiej tętniły życiem. Mieszkańcy stolicy przychodzili tu, by się opalać, żeglować, grać w karty, tańczyć i przede wszystkim kąpać się. Na zdjęciu funkcjonariusz z Komisariatu Wodnego Policji Państwowej z łódki wiosłowej obserwuje kąpiących się. Dziś w Warszawie też funkcjonują nadrzeczne plaże. Policjanci komisariatu rzeczno monitorują Wisłę z łodzi motorowych, pilnują, by nie kąpać się w miejscach niedozwolonych. Kąpiel w Wiśle stanowczo odradza sanepid.



ANTARKTYDA



RUMUNIA



AUSTRALIA

Poznaj Świat

Redaktor naczelna:
Dorota Kobierowska-Dębiec

Zespół i współpracownicy:
Wojciech Albiński, Ryszard Bądowski,
Józef Baran, Paweł Chara,
Marek Kamiński, Grzegorz Kapla,
Robert Mazurek, Beata Pawlikowska,
Katarzyna Rojek, Dariusz Rosiak,
Marek Szpendowski

Adres redakcji:
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980, 535 444 990, 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo:
PROBIER
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
tel. 58 304 73 97

Dyrektor wydawniczy:
Dariusz Małkowski
e-mail: dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl

Koordynator do spraw wydawniczych:
Beata Pernak

Nieoceniona pomoc techniczna:
Robert Krygier

Produkcja i Prepress:
Artur Bury, Julia Michalczewska

Druk:
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

Dystrybucja:
TM Media Mirosław Tański

Reklama:
Aleksandra Harasimiuk
ola.harasimiuk@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333
Olga Kołakowska
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl
tel. 501 050 624
Grzegorz Miedziński
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów.

NAJWYŻSZY STANDARD OPIEKI NA POMORZU

SPOKOJNA STAROŚĆ W KOMFORTOWYCH WARUNKACH

 **POGODNY WIEK**
DOMY OPIEKI



*Otwarcie już wkrótce,
zapraszamy do rezerwacji.*

Dom to wyjątkowe miejsce.
Stąd promieniuje ciepło, tutaj można liczyć
na opiekę bliskich ludzi. Prawdziwy Dom
daje radość życia i poczucie bezpieczeństwa.
Taki właśnie Dom pragniemy stworzyć...



KARAIBSKA FIESTA



Republika Dominikańska
Pełnia wrażeń